

O życie godne, twórcze i barwne * Po Konfrontacjach Gorzowskich
* Zbrodnia w zagajniku * Sceny miłosne * Krzyżówki

PL ISSN 0465-7661 Nr indeksu 36 650

nadodrza

ZIELONA GÓRA 13 VII 1986 — 26 VII 1986 R.
ROK XXX NR 14 [619] CENA 15 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Sardoniczny śmiech truskawki

Ryszard Rowiński

W poniedziałek stary przywiozły opakowania. Drewniane pojemniki, wszystkie nowe, pachnące żywicą, niektóre porośnięte świeżym grzybem, razem ze starymi lubiankami, jak leci, wrzucaliśmy do stodoły z pruskiego muru. Potem dowieziono stół, jedno krzesło, ozdobną lampę naftową, którą trzeba było naprawić, wagę sklepową bez atestu i odważników. Do kwitnącej lipy, rosnącej przy szosie E 14, właściciel stodoły w czynie społecznym przybił tabliczkę z napisem:

PUNKT SKUPU OWOCOW

Pani z bagażnikiem pełnym truskawek dostrzegła napis w ostatniej chwili, zahamowała nowego wartburga, który trząśnięty został przez nowego poloneza. Z truskawek zrobiła się pulpa. Polonez, który ma solidne zderzaki, stracił w opresji obudowę jednego światła.

Babka ma wyraźnego pecha. Cały dochód z plantacji pójdzie na reparację — filizoficznie orzekł obserwator zdarzenia.

W poprzednich latach punkt skupu był zlokalizowany lepiej. Miał bezkolizyjną komunikację, oświetlenie elektryczne.

Tutaj też jest.

Widzi pan? Zarówka, chyba dwuszetka, okazała się być symbolem lepszych czasów. Odcięta od prądu wisiała sobie przy belce. Rolnik, który w poprzednich latach dzierżawił stodołę na punkt skupu, chciał wyższej opłaty. Nie podpisano z nim umowy.

We wsi jest wspaniałe pomieszczenie nadające się na skup.

Za! wydawać pieniądze. Obracają towarami wartym miliony, ale tych trzydziestu tysięcy im żal.

W tej budzie chcą skupić siedemdziesiąt ton truskawek?

Siedemdziesiąt, to oficjalny plan. Skupią co najmniej trzysta. Truskawek jest zatręśnienie. W zeszłym roku, pamiętacie jak ludzie czoięli się w glinie, oblewani strugami wody, sprzedali dwieście ton?

Na drzwiach stodoły przybito pierwsze komunikaty. Punkt skupu czynny od czternastej do dziewiętnastej. Cena kilograma truskawek odszypułkowanych, właściwie ubarwionych, świeżych, niezawilgoconych o średnicy 2 centymetrów do trzech i pół, 90 złotych.

Skup, proszę państwa, zaczynamy w czwartek. Przyjmowanie towaru kończymy o dziewiętnastej.

Plantatorzy traktują zapowiedź jak dowcip. Jest to piosenka znana, powtarzana co roku w sezonie zbioru truskawek.

Czesława Kubisiak pobierając kilka set lubianek, w większości nadających się na podpałkę, rozlatujących się w rekach, pyta retorycznie: gdzie są ci eksperci i oceniające? Czy oni wiedzą, co dzieje się na plantacjach? Przy tej temperaturze skup zaczynać trzeba zaraz a nie za trzy dni. Przez te trzy dni słonco da nam dobrze po tyłku.

Czesława Kubisiak, żona właściciela plantacji, inżyniera elektronika, specjalisty od telewizorów, wie, co mówi. Słońce istotnie da plantatorom po tyłku. Przegrzają z nim. Ceną będzie co najmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt ton, przejrzałych, nie zebranych z pola, nie sprzedanych owoców. Co to oznacza? Według prowizorycznych obliczeń, handel uspołeczniony sprzedaje od 18 do 20 ton świeżych owoców stułusiecznemu miastu. Jednak Czesława Kubisiak, która ma dobrze utrzymaną plantację, z luksusem — deszczownią, jeszcze nie wie, jak dramatyczne są skutki klęski urodzaju.

PRÓBA GENERALNA

Pierwszy dzień skupu zaczyna się o czternastej, od miłego obrazka — kolejki kilkudziesięciu pojazdów z delikatnym owocem. Podwórze, ulica po dró

giej stronie międzynarodowej szosy załoczone są małymi i dużymi fiatami, polonezami, wartburgami, rykszami, ich konstruktorom nawet się nie śniło, ile lubianek zmieścić może mały fiat. Do głowy im nie mogło przyjść, czemu ma ją służyć samochody z założen konstruktorów — osobowe. Udreczona truskawka poci się pod blachą samochodu, której dotknięcie może sparzyć skórę. Na odbiór czeka się cztery, pięć godzin. Zawartość każdej lubianki trzeba przejrzyć, zważyć, wyceńić, przeprowadzić przez kancelarię... Problem braku odważników został poważnie rozwiązany. Po prostu w sklepie geesu zważono wzorcową lubiankę. Waży 2,35 kilograma.

Nikt w kolejce się nie denerwuje. Są drobne utarczki, ale dobronasne, wyrozumiale. Tempo pracy istic japońskie. Tyle tylko, że jest to wysiłek w polowie bezsensowny. Z powodu braku jakiegokolwiek mechanizacji, z powodu wypełniania papierów przy świetle lampki na baterie, ładowania samochodu ciężarowego w ciemnościach.

O 23-ciej kończy się skup. Ostatni plantator, który po raz pierwszy zebrał pion zdaje osiem lubianek. Czekal w kolejce sześć godzin.

Panie, dlaczego pan tak długo czekał? Trzeba było przyjść poza kolejką.

Nie miałem odwagi. Jeszcze ktoś by się obraził.

Po udreczona truskawka przyjeżdża star kryty plandeka. Ładowanie zaczyna się przed północą. O drugiej jest wypelniony po brzezi. Wyrusza do "sewu" w Środzie Wielkopolskiej. Przed fabryczną bramą będzie czekał na przyjęcie towaru przez osiem godzin. Co stanie się z delikatną truskawką? Star wyjeżdża na truskawkową szosę, a w stodołę pozostałe jeszcze półtorej tony towaru. Nie ma samochodu.

W PIĄTEK

rano też nie ma. Samochód przyjeżdża dopiero w południe. Zabiera towar. Odwozi do Środy. Wszystko jest w naj lepszym porządku. Nie ma reklamacji odbiorcy. To jest dobry dzień. Jeden z plantatorów wypożyczył bezinteresownie odważniki. Ktoś inny zaproponował, że podłączy stodołę do sieci elektrycznej. Ma kabel i licznik. Kto za to zapłaci? Spółdzielnia się zastanawia, chociaż wie, że kalkulator elektroniczny polskiej konstrukcji nie daje się zasilać naftą. Plantator macha ręką. — Zrobię to w czynie społecznym!

W ogonku samochodów osobowych i półciężarówek — kto ma zacięcie socjologiczne może pisać odkrywczą pracę o związkach i zależnościach między truskawką a motoryzacją na przykładzie Polski — pojawiają się dziwne pojazdy. Jeden, z napędem Diesla, oryginalnymi resorami sprężynowymi został niewątpliwie skonstruowany na wzór radzieckiego lunochoda. Czteroletni małeć sprawnie kieruje trabantem. Pięciolatek bez tremy kieruje traktem. Technika weszła działwie polskiej w krew. Siedmiolatek przez pięć minut przygląda się mrówczej robocie personelu punktu skupu: — Nie macie tu komputera?!

ciąg dalszy na str. 4



Wszystkich Czytelników naszego pisma serdecznie zapraszamy na Lipcowy Festyn „Gazety Lubuskiej”, „Nadodrza” i Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy do Wojewódzkiego Ośrodka Sportu i Rekreacji w Drzonkowie oraz zielonogórskiego amfiteatru w dniu 20 lipca 1986 r. Dochód z imprez zostanie przekazany na Narodowy Fundusz Pomocy Szkole oraz na budowę Szpitala Wojewódzkiego w Zielonej Górze. Szczegóły w „Gazecie Lubuskiej”

Opinie i refleksje

Głos X Zjazdu

X Zjazd Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej miał w dziedzinie problematyki międzynarodowej zarówno swój wymóg uniwersalny, jak i nasz — polski. Uniwersalność zagadnień występujących w dzisiejszym złożonym świecie, podjęcie z trybuny Zjazdu problemów globalnych — ogólnosięwiatowych, wynikała niewątpliwie w znacznym stopniu z tego, że gościliśmy Zjazd był sekretarzem generalnym KC KPZR a więc partii kierującej mocarstwem, współdecydującym o losach naszej planety.

Współczesny świat wkroczył bowiem — według znanego określenia XXVII Zjazdu KPZR — w nowy okres procesu historycznego. Podstawową nowością obecnej sytuacji określa jakościowy skok w sferach wytwórczych, który nastąpił w ostatnim ćwierćwieczu w wyniku rewolucji naukowo-technicznej. Zwiększyła ona ogromnie twórcze możliwości człowieka związane z rozwojem nowej techniki i technologii. Jednocześnie postawiła cywilizację na krawędzi samozagłady.

Oczywiście jest rzeczą zrozumiałą, że rewolucja naukowo-techniczna sama w sobie nie zawiera tego samobójczego dramatyzmu. Niesie go współczesny imperializm, niechęć jego kół rządzących do zrezygnowania z chimery rozwiązań siłą dziesiętnego sporu między kapitalizmem a socjalizmem. Są to uślośniania z góry skazane na niepowodzenie. Zapórę na ich drodze stanowi siła i wartość wspólnoty socjalistycznej oraz potęga Związku Radzieckiego. Dlatego właśnie te wartości naszej wspólnoty starały się i starają koła imperialistyczne nieustannie podważać. Doświadczaliśmy tego na sobie i X Zjazd wyraźnie unaoczniał, w jaki sposób stanowczo i zdecydowanie polskich komunistów, wsparte siłami państwowymi i ludowymi — potrafiły temu zapobiec.

Polska dzisiejsza może być pewna swego pokojowego rozwoju przede wszystkim dlatego, że stanowiąc mocne ogniwo naszej wspólnoty, znajduje właśnie w jej ramach poczucie pełnego bezpieczeństwa. Mówi o tym na X Zjeździe PZPR M. Gorbaczow: „Jestem po przyjacielsku zainteresowany sukcesem waszych zamierzeń i poczyni, tym, aby Polska była silnym, niezależnym państwem socjalistycznym”. To samo, usłyszeliśmy od przedstawicieli naszych pozostałych sąsiadów — Niemieckiej Republiki Demokratycznej i Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej.

Jest to właśnie ta zasadnicza zmiana, jaka dokonała się w geopolitycznej sytuacji Polski, w wyniku przemian ustrojowych w naszej części świata, których siłą motoryczną była lewica rewolucyjna — w tym na pierwszym miejscu również komunistki polscy.

X Zjazd uzmysłowił nam raz jeszcze, że niebiosa a nie wszystkim jeszcze w pełni pojęta prawda, że nigdy interesy narodu polskiego nie były lepiej zabezpieczone, niż to sławetna geopolityczna polozycja Polski jest dziś korzystniejsza niż kiedykolwiek w naszych dziejach. Od wieków bowiem, od sławetnego układu zawartego pomiędzy Petersburgiem a Berlinem w 1720 roku w Poczdamie — nad Polską zawsze wisiała groźba. A dziś — mówił Wojciech Jaruzelski — nasze doświadczenia dobitnie dowodzą, że Związek Radziecki jest żywotnie zainteresowany w sile i bezpieczeństwie Polski, w jej przyjaznych stosunkach z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Niemalże po raz pierwszy w historii, nasi sąsiedzi nie tylko nie sprzymierają się przeciwko nam, lecz wręcz odwrotnie — stanowią nasze najpewniejsze sojuszniki. Oparcie a oni z kolei mogą liczyć na pełne zaangażowanie naszego narodu i państwa po stronie socjalizmu i łączącej się z tym nierozdzielnej sprawy pokoju i bezpieczeństwa.

X Zjazd unaoczniał, że Polska przestała — wbrew określonym rachubom — być słabym ogniwem naszej wspólnoty, że odzyskała swe należne miejsce i pozostaje jednym z głównych filarów jaltańsko-poczdamskiego ładu powojennego w Europie. Dobitnie wskazuje na to cały dorobek X Zjazdu i uchwalona na nim deklaracja w sprawie bezpieczeństwa i współpracy w Europie.

MICHAŁ HOROWICZ

CZAS PRACY

W ocenie rzeczywistości, zwłaszcza gospodarczej, określonej przez działalność przemysłu i rolnictwa, obrady X Zjazdu PZPR cechował ostry ale sprawiedliwy krytycyzm. W ocenie rzeczywistości nadal przecież bardzo trudnej, boleśnie dającej o sobie znać na każdym kroku, sprawiedliwy krytycyzm nie pozwolił zamazać tego, co było faktycznym dorobkiem wynikającym z uchwał IX nadzwyczajnego zjazdu. Dorobek ten okazał się być niemałym.

Przygotowania do zjazdu spowodowały wzrost aktywności wszystkich członków i wszystkich ogniw organizacyjnych partii, umocniły organizacyjnie i ideologicznie Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Będzie to miało zasadniczy wpływ na proces przemian społeczno-gospodarczych. Przygotowania do zjazdu, dokonywane przy otwartej kurtynie, pozwoliły umocnić wierz PZPR z całym społeczeństwem. Szansa osobistego uczestnictwa w tworzeniu wizji

Polski lat dziewięćdziesiątych została dobrze wykorzystana. Nawiazany dialog ze społeczeństwem, zwłaszcza jeśli zostanie zmaterializowany w tworzeniu faktów, stał się może stymulatorem pożytecznych przeobrażeń w latach najbliższych. Krag ludzi obrażonych na historię, szczególnie te najnowsze, uciekających od działania, będzie się coraz częściej dowidywał, że nie ma racji a ich programowa bierność przynosi szkody im samym.

X Zjazd był myśleniem o przyszłości. W myśleniu o przyszłości Zjazd dokonał tego, czego pragnęli wszyscy — podniósł pracę do rangi najwyższej, nadał sens słowom „zbyć”, „mądrze”, „nowocześnie”. I Sekretarz Komitetu Centralnego, Wojciech Jaruzelski, w wystąpieniu kończącym obrady powiedział:

„Szybciej to przybliżenie równowagi gospodarczej, to więcej środków na społeczne cele, lepsze wyżywienie narodu,

zdrowy rynek, zaspokojenie potrzeb mieszkaniowych oraz zdecydowana realizacja zadań w dziedzinie oświaty, ochrony zdrowia, środowiska przyrodniczego. To więc wyjście naprzeciw nadziejom na systematyczny, wymierny postęp w warunkach pracy i życia społeczeństwa.

Szybciej — to energiczne włączenie się do wysiłku technologicznego, lepsze wykorzystanie wielkich możliwości intelektualnych naszego społeczeństwa, śmiała, przemysłowa modernizacja gospodarki.

„Przyspieszenie rozwojowe to nie tylko sfera rzeczy, wskaźniki, pojęcia ekonomiczne. Powszechny zwrot ku efektywności w gospodarce, nauce i technice, oświacie i kulturze, będzie szybszy jeśli zostanie wsparty niezbędnymi premianami do świadomości społecznej, w ludzkim myśleniu i postawach”.

Zjazd stanowczo opowiedział się za kontynuowaniem reformy gospodarczej, wejściem reformy w nowy, pogłębiony etap, w którym autentyczne możliwości, talent i energia ludzi znajdzie szanse samorealizacji.

Zjazd zainicjował: powszechny przegląd i realizację struktur organizacyjnych

nych we wszystkich dziedzinach naszej rzeczywistości, chociaż głównie w gospodarce. Struktury zgodne, uzasadniające swój byt działaniami pozorowanymi, nie będą tolerowane.

Zjazd postanowił: dokonanie optymalizacji gospodarowania kadrami.

To, czego społeczeństwo domagało się od dawna, likwidacja krzyżujących się kompetencji, w rzeczywistości paraliżujących podejmowanie decyzji, działania pozorujące pod zmieniającymi się biurokratycznymi płaszczami, to wszystko zostało głośno wypowiedziane na zjazdowej trybunie. Bo dość marnotrawstwa czasu i mitręgi. Postępowi powinni służyć każdy dzień, każda minuta pracy, każdy milimetr potu.

Praca w kraju i dla kraju, musi stać owocna: znaczy to, że również sta nowana i godziwie opłacana.

X Zjazd PZPR był ważnym wydarzeniem nie tylko dla samej partii również dla całego społeczeństwa. Jego obrady, wszystkie postanowienia, całe bogactwo przemysłów, wyartykułowane aspiracje klasy robotniczej, będą w latach najbliższych zasadniczym kierunkiem działań partii i państwa.

RYSZARD ROWIŃSKI

ZADRA

Szkolnictwo wyższe

i zawodowe

Szkolnictwo jest dziedziną, która w NRD rozwija się szczególnie dynamicznie. Na 55 uniwersytetach i uczelniach studiują obecnie około 140 tys. młodych ludzi, z czego 110 tys. na stacjonarnych a 30 tys. na wieczorowych bądź też korespondencyjnych. Preferowane są studia techniczne. Prawie 45 tys. słuchaczy studiów dziennych obrało ten kierunek. Na drugim miejscu znajdują się nauki pedagogiczne które wybrało około 30 tys. młodych ludzi. Trzecia pożyta to ekonomia — ponad 25 studentów. Na dalszych miejscach plasują się nauki humanistyczne, takie jak historia, literatura, filozofia, socjologia i językoznawstwo. Oczywiście poczesne miejsce zajmuje medycyna a także matematyka, fizyka i chemia. Teologiczne studiują około 300 osób. Na studiach wyższych studenci stanowią dokładnie połowę uczących się a w 240 szkołach inżynierskich i zawodowych — około 70 procent.

Stale podnosi się poziom szkolnictwa wyższego, czego wyrazem są m.in. konferencje naukowo-metodyczne na wydziałach: matematyki, medycyny, językoznawstwa i historii. W bieżącym roku akademickim odbędzie się ponad 20 centralnych studenckich konferencji naukowych, m.in. na tak ważne tematy jak komputeryzacja i technika robotów przemysłowych, ochrona środowiska, rozwój i zastosowanie mikroelektroniki. Nie brak również tematów humanistycznych, dotyczących np. twórczości Goethego i Schillera.

Studenci biorą też żywy udział w badaniach naukowych prowadzonych na uniwersytetach i wyższych uczelniach. Udział ten wynosi obecnie około 40 procent. W ramach współzawodnictwa młodych wynalazców studenci zgłaszają wiele oryginalnych pomysłów i wniosków. Około 2 tys. studenckich biur i ośrodków racjonalizatorskich zapewnia doskonałe warunki dla samodzielnej pracy studentów. Około 4 tys. młodych ludzi podjęło naukę na uniwersytetach i wyższych uczelniach krajów socjalistycznych. W NRD z kolei studiują na różnych uczelniach około 10 tys. cudzoziemców ze 110 krajów. Pierwsi cudzoziemscy studenci zaczęli kształcić się tu w 1951 roku. Od tego czasu ukończyło studia w NRD około 25 tys. młodych ludzi z przeszło 120 krajów. Tutajże uczelnie wykształciły m.in. ponad 1.300 lekarzy oraz około 1.200 agronomów i weterynarzy, którzy obecnie pracują w niepodległych krajach Afryki, Azji i Ameryki Łacińskiej. Prawie tysiąc byłoby innych państw pisze tu obecnie swe prace doktorskie.

Wszyscy słuchacze studiów stacjonarnych na uniwersytetach oraz na innych wyższych uczelniach otrzymują miesięczne podstawowe stypendium w wysokości co najmniej 200 marek. Młodzi fachowcy wykazujący się praktyką zawodową i wybitnymi osiągnięciami w nauce a także pracujący społecznie, mogą otrzymać stypendium przyznawane przez FDJ w wysokości 300 marek. Studenci którzy odbyli służbę wojskową mogą otrzymywać stypendium wyższe do podstawowego. Również młodzież legitymująca się praktyką w dziedzinie pedagogiki ma prawo do podwyższonego stypendium. Około 75 proc. wszystkich studentów uprawia w wolnym czasie sport — w formie zorganizowanej bądź też indywidualnie.

Bogactwa naturalne

Racjonalne gospodarowanie i wykorzystanie własnych bogactw naturalnych jest w NRD, obok wzrostu wydajności pracy, oszczędności czasu i obniżki kosztów produkcji, jednym z najważniejszych źródeł przyrostu dochodu narodowego.

W NRD wydobywa się łącznie ok. 300 mln ton surowców naturalnych, z czego 300 mln ton przypada na węgiel brunatny. Z powodu pogarszających się warunków eksploatacji złóż niektórych kopalni, głównie węgla, soli potasowych i rud żelaza, konieczne są coraz większe nakłady finansowe na ich wydobycie.

60 proc. wszystkich surowców zużywanych w NRD pochodzi z importu. Najważniejsi partnerzy handlowi NRD w tej dziedzinie, to kraje RWPG, głównie Związek Radziecki. Dostarcza on rocznie m.in. 17 mln ton ropy naftowej, 6,4 mld metrów sześciennych gazu i 3,3 mln ton stali walcowanej.

W NRD dąży się do tego, żeby udział surowców importowanych nie wzrastał. W związku z tym uwagę koncentruje się na bardziej intensywnym wykorzystaniu surowców własnych. Szczególnie znaczenie ma zastosowanie mikroelektroniki, dzięki której udało się już zmniejszyć ok. 25 proc. zużycie kosztownych metali, jak miedź, mosiądz i aluminium oraz srebra. Większość przedmiotów zmierzających w kierunku popierania najnowszych rozwiązań technologicznych oraz szybkiego wprowadzania do praktyki osiągnięć postępu naukowo-technicznego.

Rozwój energetyki

jądrowej

Srodkim masowego przekazu NRD dość szybko zareagowały na wiadomość o awarii w radzieckiej elektrowni atomowej w Czarnobylu. Podczas dyskusji telewizyjnych naukowcy NRD poinformowali, że w NRD pracują inne reaktory niż zastosowane w Czarnobylu. Zwrócono uwagę na bardzo ostre przepisy bezpieczeństwa w elektrowniach atomowych NRD oraz skonstruowany system wczesnego ostrzegania o takich niebezpieczeństwach. Te żywe obawy nie doniesienia środków masowego przekazu miały na celu nie tylko uspokojenie ludności NRD „bombardowanej” alarmistycznymi doniesieniami radia i TV RFN, lecz również wskazanie na szersze aspekty sprawy. W NRD bowiem uważa się od dawna, że problemy energetyczne tego kraju w przyszłości mogą być rozwiązane tylko przez energię jądrową. Zastąpienie węgla brunatnego jako nośnika energii przez paliwo jądrowe traktowane jest przez władze NRD od dawna jako zjawisko normalne i nieodzowne. Od 1988 r., tj. od zakończenia budowy i przekazania do użytku ostatniego bloku energetycznego elektrowni w Jaenschwalde koło Chociebusa pracującej na węglu brunatnym nie przewiduje się rozwoju energetyki konwencjonalnej. Na dłuższą metę przewiduje się wykorzystanie energii atomowej nie tylko dla wytwarzania prądu elektrycznego, lecz również ciepła dla ogrzewania mieszkań i dostaw ciepłej wody. Wprawdzie nie ma jeszcze konkretnych technicznych projektów, jednakże kierunek na rozwój energetyki jądrowej nie podlega w NRD kwestii.

Badania nad wykorzystaniem energetyki jądrowej rozpoczęły się w NRD stosunkowo wcześnie. W 1953 r. w Centralnym Instytucie Badań Jądrowych w Rossendorf uruchomiony został pierwszy sprawdzony z ZSRR badawczy reaktor atomowy. Jeszcze w tym samym roku biuro techniczne budowy reaktorów i elektrowni rozpoczęło prace nad projektem pierwszej elektrowni atomowej w NRD, która zlokalizowana została w Rheinsberg w odległości 75 km od Berlina. Pierwszy prąd płynął z niej w 1966 r. Od 1973 r. pracuje w NRD druga elektrownia atomowa „Nord” w Lubminie koło Greifswaldu w odległości około 50 km od granicy z Polską. Cztery pracujące w niej bloki — reaktory, każdy o mocy 440 MW dostarczają rocznie 11 tys. gigawatogodzin energii. Piąty blok ma zostać uruchomiony pod koniec br. Szósty ma zostać zainstalowany w 1987 r., siódmy w 1989 r. a ósmy w 1990 r. Każdy także o mocy 440 MW. Obie w/w elektrownie atomowe wyprodukowały w 1984 r. 10,7 proc. energii elektrycznej NRD.

W 1980 r. rozpoczęto budowę ośrodka atomowego w Stendal. Ma on być wyposażony w radzieckie reaktory, każdy o mocy 1000 MW. Wg pierwotnych założeń prąd elektryczny z elektrowni atomowej w Stendal miał popłynąć w 1989 r. Jednakże zarówno w Stendal, jak i w Lubminie wystąpiły opóźnienia. W zatwierdzonej na XI Zjeździe NSPJ dyrektywie do planu rozwoju gospodarki NRD na lata 1986—1990 przewiduje się, że elektrownia atomowa w Stendal ma zostać uruchomiona w 1991 r. Dyrektywa stwierdza dalej, że „należy stworzyć przesłanki dla zbudowania i uruchomienia dalszego potencjału elektrowni atomowych po 1990 r.” Do 2000 r. chce się w NRD pokryć 40 proc. zapotrzebowania na energię elektryczną produkcją z elektrowni atomowych.

W tych warunkach, w związku z awarią w Czarnobylu może nasunąć się pytanie, czy rozwój energetyki jądrowej będzie realizowany w przewidywanym tempie. Wprawdzie jeszcze na początku lat 80-tych na tle awarii w Harrisburgu ogłoszono w NRD, że ma budować elektrownie atomowe bez piekna i kontrolowane tak, że awarie takie jak na Zachodzie są wykluczone, to dziś okazuje się, że awarie mogą zdarzyć się wszędzie. Z pewnością rozważane będą dalsze zabezpieczenia przed możliwością wystąpienia awarii, co może spowodować opóźnienie w realizacji programu energetyki jądrowej w NRD, lecz nie ma najmniejszych oznak, by chcieli z niego zrezygnować. NRD nie ma po prostu energetycznej alternatywy, a poza tym jest to kraj niewielki i o powierzchni 108 tys. km kwadratów, a elektrownie atomowe są tak że w krajach sąsiednich.

ZALABA

Lekcja sprawiedliwości

w Krefeld

Tę nazwę określił proces toczący się w tym mieście od listopada ub. roku do końca marca br. przewodniczący DKP Herbert Mies. Przewodniczący Zachodniemieckiej Partii Komunistycznej w ten sposób podsumował wynik dochodzenia w sprawie zamordowania Ernsta Thaelmanna — ostatniego przywódcy Komunistycznej Partii Niemiec: Thaelmann, więziony od 1933 r. przez ponad 11 lat przebywał w więzieniach III Rzeszy, m.in. w Bautzen. Na osobisty rozkaz Hitlera został w nocy z 11 na 12 sierpnia 1944 r. przewieziony do obozu koncentracyjnego w Buchenwaldzie i zastrzelony w tamtejszym krematorium obozowym. Zwłoki natychmiast spalono. W świat powędrowała legenda goebbelsowskiej propagandy: więziony przez wódniczą KPD zginął podczas alianckiego nalotu bombowego. Zanim jedyny z dziesiątków współwinników tej zbrodni, emerytowany nauczyciel z Geldern, a wówczas jeden z oprawców, w randze Oberscharführera SS, Wolfgang Otto stanął wreszcie przed sądem, toczyły się — od 1962 r. — boje o podjęcie tego procesu. Wielokrotnie starania żony i córki Thaelmanna zostały odrzucone pod pretekstem braku dowodów lub przedawnienia. Gdy wreszcie doszło do obecnego procesu wszystko toczyło się nieby jak dotychczas. Oskarżyciel publicznie pozostał wierny swej opinii i — niczym obrońca — wystąpił z wnioskiem o uwolnienie. Argument: proces od był się zbyt późno, trudno dziś o jednoznaczne dowody, oskarżony ma nieposiadającą opinię — mimo wcześniejszego 20-letniego wyroku za mordowanie więźniów z Polski i Jugosławii (który odbył zresztą tylko w nieznacznej części). Wątpliwości przemawiają więc na korzyść oskarżonego. I oto wyrok zaskakujący wszystkich — oskarżonego, o którym powiedziano w procesie, że z tym samym spokojem postąpił się pistoletem jak i maszyną do pisania, prokuratora — pewnego, że obalił własny akt oskarżenia, jak i obrońcę a góry pewną swego sukcesu. Kara

jest bardzo późniona i bardzo niska — 4 lata. A jednak zdaniem komentatorów w RFN znacząca i mająca wagę symbolu. Po pierwsze: sąd jednak mimo upływu lat uznał dowody za przekonujące i wydał wyrok skazujący. Po drugie: przeciwstawił się poglądowi, że minal czas karania morderców hitlerowskich. Po trzecie: przeciwstawił się w wyroku wyraźnie poglądom zaniechania ścigania zbrodni wojennych. „Tego rodzaju zbrodnie nie mogą ulec zapomnieniu” brzmi uzasadnienie. Po czwarte: skończył formalnie i merytorycznie z lansowaną do dziś tezą hitlerowskiej propagandy o śmierci Thaelmanna „Nie kłómy się o wysokość wyroku na 74-letnim zbrodniarzu. Stał się on bogatszy o nadzieję. Sąd w Krefeld oddał Republice Federalnej, demokracji i konstytucji dobrą przysługę” — oświadczył Herbert Mies — dostrzegając w orzeczeniu zachętę dla wszystkich sił antyfaszystowskich i postępowych.

(Tema)

Próba budowy mostów

porozumienia

Z udaną próbą budowy mostu porozumienia pomiędzy młodzieżą polską i RFN uważa wypada wspólne dwudniowe seminarium młodzieży, które odbyło się w Kolonii. Jego przedmiotem była ocena sytuacji politycznej w Europie oraz stan stosunków dwustronnych pomiędzy PRL i Republiką Federalną Niemiec. Młodzi zastanawiali się nad tym, jak sprawić aby proces normalizacji wzajemnych stosunków nie stanął w miejscu. Na tym tle omówiono zadania rysujące się przed ruchami młodzieżowymi w obu państwach. Obok załącz seminaryjnych zorganizowano szereg spotkań z przedstawicielami rozmaitych organizacji i partii politycznych.

Konkluzją wynikającą z tych imprez było przekonanie, że młodzież w obu państwach nie może i nie powinna pozostawać na uboczu od procesów normalizacyjnych. Ma ona możliwość wnieść niepokojący wkład do dzieła ich przyspieszenia. Obie strony wyraziły niezmienne przekonanie, że podstawą współdziałania jest i pozostaje Układ zawarty między PRL i RFN w grudniu 1970 r. Oznacza to uznanie bez jakiegokolwiek zastrzeżenia realności polityczno-terytorialnych w Europie, a w szczególności niepodważalności granicy na Odrze i Nysie. Szczególnie wysoko wypada ocenić wyrażoną przez obie strony gotowość przedstawienia się wszelkim zakusom rewizjonistycznym w RFN. Uwagę zwrócono przy tym na konieczność wykorzystania tendencji rewizjonistycznych z procesu wychowawczego w szkołach, a także w wychowaniu pozaszkolnym.

(alfa)

Oficerowie w przemyśle

zbrojeniowym

Zgodnie z obowiązującą od 1 kwietnia 1986 r. „ustawą o poprawie struktury kadrowej w siłach zbrojnych”, do roku 1990 zostanie wcześniej skierowanych na emeryturę 1.200 oficerów. Zwolnią oni miejsce dla młodszych. Możliwość ta jest dla wielu oficerów bardzo pożądaną, ponieważ poza jednorazową odprawą w wysokości 12.000 — 42.000 marek, zależnie od stopnia i pełnionej funkcji otrzymują oni jeszcze 70 proc. emerytury, której podstawą są ostatnio pobierane pobyty. W praktyce odchodzący na emeryturę oficer otrzymuje 3.500 — 5.000 marek emerytury. Drugie tyle, a niekiedy i więcej mogą dorobić dodatkowo ponieważ o te kwoty oficerowie usilnie zabiegają przemysłowymi. Nie dają, że gdy możliwości te stały się w środowisku wojskowym znane, już w pierwszym kwartale zgłosiło się 3.800 chętnych, znacznie więcej niż przewidują przybliżenia ministerstwa obrony. Dochodzi więc do rywalizacji, uruchamia się zjawiska, aby tylko uzyskać zgodę na wcześniejszą emeryturę. Pokrzywdzeni odwołują się, powstaje nieprzyjemna atmosfera, w której padają zarzuty o skwapliwie zamianie honoru żołnierza na brzęczącą monetę.

(x)

W socjalistycznej Polsce we wszystkich dziedzinach kultury dokonał się wielki, historyczny postęp. Była ona czynnikiem awansu mas ludowych oraz cywilizacyjnych przeobrażeń kraju. Najcenniejsze wytwory myśli i twórczości stały się powszechnym gościem w polskich domach. To fakt nie podważalny.

Ale nie o osiągnięciach chcemy dziś przede wszystkim mówić, lecz o dysproporcjach, czasem i kontrastach, o najpilniejszych zadaniach. Na zaniebania, które już poprzednio dawały znać o sobie, nałożyły się zarówno ideowo-moralne, psychologiczne, jak i materialne skutki kryzysowego załamania. Wystąpiły zjawiska frustracji i zamylenia. Rozwarły się niece między potrzebami a środkami. Doszło nawet do likwidowania niektórych zakładowych klubów oraz placówek kulturalnych na wsi.

Za kwestię wielkiej wagi Komitet Centralny uważa zwiększenie wpływu dzieł wysokiego artystycznego gustu i upodobania estetycznego, na życie i stosunki między ludźmi, na zahamowanie zalewu szmiry, kiczu i brzydoty.

Np. słabość transmisji między wybitnymi osiągnięciami sztuk plastycznych, sztuką użytkową, wzornictwem i produkcją przemysłową powoduje, że estetyka wyrobów odgrywa zbyt małą rolę jako ekonomiczna i kulturowa wartość. Czas najwyższy reaktywować Radę Wzornictwa Przemysłowego, z całą powagą traktować uchwały w tej sprawie.

W muzyce mamy szczytowe osiągnięcia słynnych kompozytorów i wykonawców, ale na co dzień brak słuchu, lekceważenie wychowania muzycznego w szkołach, inwazja ogłuszających decyzji. To kolejny przykład dysproporcji.

tość dzieła, nie zaś podmiotowe — minionie meandry politycznej biografii.

Na obszarze kultury oddaliśmy wiele pola przeciwnikowi. By to pole szybciej odzyskać, nie wystarczy używanie wielkich słów. Przez powtarzanie słowa „sojalizm” kultura nie staje się socjalistyczna. Nie jest istotne pytanie, jak z pomocą kultury socjalizm reklamować, lecz jak dzięki niej go współtworzyć, aktywniej urzeczywistniać, przeżywać i uatrakcyjnić, uczestniczyć w procesach duchowego, intelektualnego i moralnego rozwoju. Rzecz w tym, by dzieła sztuki, wytwory kultury były piękne, estetyczne i wartościowe, wzbogaciły życie i pomagały żyć.

Kultura w naszych dziejach była z reguły źródłem inspiracji skupiającej Polaków wokół wielkich celów. Torowała drogę ideom postępu, ożywiła w długim i burzliwym okresie niewoli poczucie

Szczególne znaczenie przywiązujemy do rozszerzania obecności kultury polskiej w życiu społeczeństw krajów socjalistycznych oraz kultury tych krajów w życiu społeczeństwa polskiego. Uprzejmość nasza sztuka ma największe masowe audytoryum, prezentowana jest najpełniej i najczelniej. Odwzajemnia my to i będziemy odwzajemniać w coraz szerszym zakresie.

Rewolucja naukowo-techniczna i przemiany cywilizacyjne, młodość społeczeństwa i wysoki przyrost demograficzny stawiają Polskę przed wielkim wyzwaniem edukacyjnym. Nie dawne XXIV Plenum Komitetu Centralnego określiło, jak na nie odpowiedzieć. Niezaprzeczalne osiągnięcia oświatowe w minionym 40-leciu zestawiliśmy z krajobrazem sytuacji pokryzysowej, z charakterem dzisiejszych i przyszłych

gogenicznymi i otwierających perspektywę dyplomu akademickiego.

Polska szczerzy się szeroko rozbudowanym, wielokierunkowym systemem szkolnictwa wyższego. Wniosło ono niezwykle cenny wkład w socjalistyczny rozwój kraju, przygotowało liczną kadrę wysoko wykwalifikowanych fachowców. Przyszłość stawia szkołom wyższym szczególne wymagania. Na XIX, a następnie na XXIV plenarnych posiedzeniach Komitet Centralny wytyczył kierunki zapewniające socjalistyczną treść wychowawczą oraz właściwy rytm sumiennej pracy. Zasada obowiązująca wyższe uczelnie jest jednoznaczna: ba dań, kształcenia i wychowania, jego wysoka naukowa i społeczna efektywność. Kierunki i programy studiów wymagają ścisłego dostosowania do potrzeb

O ŻYCIU GODNE, TWÓRCZE I BARWNE

Wobec tych zjawisk nie jesteśmy bierni. IX Zjazd proklamował nowe założenia polityki kulturalnej partii. Określone zostały zasady społecznego współdecydowania o kształcie życia kulturalnego. Powstał przed trzema laty Narodowy Radzie Kultury należy się szczególne uznanie za wielość inicjatyw oraz skuteczność integrujących działań, w tym opracowany ostatnio Raport o Stanie Kultury oraz wydatny udział w przygotowaniu programu jej rozwoju.

Konieczne jest, by działacze gospodarczy wykazywali więcej zrozumienia dla potrzeb kultury, a ludzie kultury — więcej troski o rozumną hierarchizację potrzeb. Jesteśmy przeciwko nudzie, za dobrą masową rozrywką, urozmaiconym sposobem spędzania wolnego czasu. Na cele szczególnie ważne i pilne, jak książki, telewizja, kinematografia, fonografia, w perspektywie technika video-środków muszą się znaleźć. Ale musi też być większa odpowiedzialność w dysponowaniu pieniędzmi. Nie wolno ich trwonić na bezwartościowe przedsięwzięcia, marnotrawić papier na grafomańskie książki i czasopisma, czy lekką ręką wydawać miliony na chybione filmy, kiedy małe jest ich liczba.

Mamy znakomitą szkołę językoznawstwa, wielką teratę tłumaczącą na mnóstwo języków. I jednocześnie mowę potoczną zatrutą drętym żargonem, przesyconą dziwolągami i wulgaryzmami, rażącą ubóstwem. Ochrona polszczyzny to sprawa nie jednej akcji, lecz wywałych starań polonistów, szkół, instytucji artystycznych, środków masowego przekazu.

Wśród ludzi związanych z kulturą nie docenia się bezmiernie na ogół rzeczy jej działalności, roli organizatorów pracy klubów i świetlic, bibliotekarzy i księgarzy, wreszcie pasjonatów uprawiających twórczość amatorską, popularyzujących własne zbiory. Ich trud wymaga życzliwego zainteresowania. Podkreślamy wagę amatorskiego ruchu artystycznego i społecznego ruchu kulturalnego, tworzącego walor autentyczny i oryginalną barwę narodowej kultury.

Rzecz jasna, dla jej rozwoju bezcenni są ci, którzy tworzą artystyczne wartości — pisarze, kompozytorzy, plastycy, ludzie teatru i filmu. Pragniemy, by byli z nami. Chcemy pomóc w przez wyjęziczeniu różnorodnych urazów, pomyłek i powikłań. Obowiązują i obowiązują być kryteria przedmiotowe, war-

cie patriotycznej wspólnoty. Jej przodkowie społecznie natury mobilizowali pokolenia wokół idei demokracji i sprawiedliwości, pozyskiwali umysły i serca dla robotniczej sprawy, wniosli bezcenny wkład w budowę socjalistycznej Ojczyzny. Takie też są naturalne preferencje naszej polityki kulturalnej, kryteria działań socjalistycznego mecenatu.

Powołaniem kultury jest zbliżanie ludzi. Jej pokojowa misja ożywia stosunki międzynarodowe, współpracę we wszystkich dziedzinach. Społeczeństwo, zwłaszcza młode pokolenie, musi być do tego mądrze przygotowane. Jesteśmy o twarcą na przyjmowanie od innych na różny sposób, co nas może intelektualnie i duchowo wzbogacić. Ale dla treści deprawujących wolnego wstępu być nie może.

A administracyjnie, tym bardziej w sytuacji otwartego biegu informacyjnego, tych złożonych problemów rozwiązać się nie da. Zakazy mogą dodać jedynie temu, co szkodliwe, urok „zakazanego owocu”. Co r bić, by skuteczniej uodparniać na tego typu kontrabandę — niech na to pytanie wspólnie odpowiedzą organizacje partyjne i młodzieżowe, instytucje kultury i wychowania.

potrzeb. Misja oświaty jest odgrywać rolę wyprzedzającą. Kierunek działań wyznacza więc odpowiedź na podstawowe pytanie: jaki ma być absolwent polskiej szkoły?

System edukacji narodowej od „zerówki” do szkoły wyższej, praca nauczycieli i wszystkich sojuszników szkoły ma służyć przygotowaniu do życia i pracy w socjalistycznej Polsce przełomu XX i XXI wieku.

Mówiliśmy o dotkliwych trudnościach materialnych szkoły. Wymaga wyrażnego ulepszenia działalność ideowo-wychowawczą. Ale niepokoją również inne zjawiska, zwłaszcza w szkolnictwie ogólnokształcącym i wyższym. Dotyczy to poważnych różnic składu społecznego uczniów na niekorzyść dzieci robotników i chłopów. Utrzymują się też regionalne i środowiskowe ograniczenia dostępu do oświaty. Obowiązek wyrównywania warunków startu edukacyjnego partia traktuje z najwyższą powagą. Służyć temu m.in. będzie, założone jako perspektywa, wprowadzenie powszechności wykształcenia średniego — ogólnokształcącego i równorzędnego.

W dyskusjach występują jakby dwa podejścia. Jedni akcentują konieczność znajdowania, prowadzenia i promowania młodzieży szczególnie uzdolnionej. Drugi — kładą nacisk na przewyższenie nierówności szans.

Drogą właściwą jest umiejętne godzenie obydwu. Trudno przewidzieć, gdzie urodzi się talent. Może nim być również dziecko robotnika, jak i intelektualisty. Kiedyś wieszcz powiedział: „kłątwa ludom, co własne mordercy proroki”. Dziś stwierdziliby: „kłątwa państwu, co własne gubią talenty”. Kapitał uzdolnień to dobro szczególnie cenne. Nasza powinnością jest przewyższenie barier przegradzających drogę na studia wszystkim pracowitym i zdolnym.

Powtórzę stwierdzenie: „Polską szkołę wynieść musimy do rangi najwyższej narodowej instytucji, czyniąc tę ideę znakiem szczególnej troski partii. Również dlatego, że siły i środki przeznaczane na oświatę, jakoś i nowoczesność edukacji to najefektywniejsza z inwestycji”.

Aby sprostać współczesnym potrzebom, szkoła powinna uczyć, jak uczyć się przez całe życie. Kształcenie ustawiczne, to warunek aktualizowania wiedzy, którą dewaluuje szybki postęp nauki i techniki. Wyjść na spotkanie ludziom pragnącym pogłębiać wiedzę fachową, dokształcać się — robotnikom-racjonalizatorom ale i robotnikom — humanistom. Godna poparcia jest więc inicjatywa powołania Stowarzyszenia Uniwersytetów Robotniczych. Opracowana także została koncepcja uniwersytetu otwartego, mającego szansę stać się ważnym ogniwem w systemie oświaty dorosłych.

Myśl o dziecku, o młodzieży kieruje nas ku rodzinie — najmniejszej, lecz najważniejszej komórce narodowego organizmu. Nakazuje wyrazić szacunek matkom polskim. To one właśnie, niosąc główny ciężar codziennych trosk rodziny, stanowią równocześnie „pierwszą linię” serdecznego trudu wychowania dzieci i młodzieży.

Poprawa warunków bytu, eliminowanie braków rynkowych i usługowych oraz różnorodnych życiowych niedogodności — to poza wszystkim zaoszczędzenie czasu matek i żon, a więc praktyczny krok ułatwiający wychowanie. Wszelkie działania zmierzające w tym kierunku — podejmowane przez polski ruch kobiecy powinny być przez partię aktywnie wspierane.

Wysoki trytet szkoły, to nade wszystko wysoki autorytet nauczyciela. Partia cení wielce ten zawód. Zasługuje on na wysokie społeczne uznanie.

Problem zasadniczy — to niedobór kadr. Kształcić musimy możliwie jak najwięcej nauczycieli na poziomie wyższej uczelni. Jednocześnie uruchamiać wystarczającą liczbę pomaturalnych studiów nauczycielskich, związanych organizacyjnie z wyższymi szkołami peda-

rozwojowych kraju. W szczególności konieczne jest operatywne kształcenie w awangardowych, związanych z postępową naukowo-techniczną dziedziną.

Sprawa wymaga kompleksowego spojrzenia. W toku przygotowania perspektywnego planu społeczno-gospodarczego rozwoju kraju, odpowiednie grono planistów oraz przedstawicieli nauki i praktyki, powinno przystąpić do opracowania możliwie ścisłej prognozy potrzeb kadrowych co najmniej do 2000 roku.

Kiedyś bardzo nośne było hasło: „Polska krajem ludzi uczących się”. Obecnie nie straciło nic na aktualności. Do określenia „uczących się” należałoby jedynie dodać — solidnie. Nie wolno godzić się z faktem, że spora część studentów nie kończy nauki w terminie — że aż 70 proc. uzyskuje podczas egzaminów tylko ocenę dostateczną. To nie jest prywatna sprawa. Dla społeczeństwa nie jest obojętne z jakim zasobem wiedzy przystępuje do pracy zawodowej absolwent wyższej uczelni, jak wykorzystuje tak społecznie kosztowny czas.

Socjalistyczne uczelnie powinny przygotowywać ideowych obywateli, wysoko wykwalifikowanych fachowców, ludzi o szerokich horyzontach, dociekliwych, ambitnych i twórczych, o rozbudzonej pasji innowacyjnej.

Troskę o to partia pragnie dzielić ze wszystkimi nauczycielami akademickimi.

Pod koniec XX wieku mocniejsze niż kiedykolwiek potwierdzenie znajduje marksistowska teza o nauce jako składowym elemencie sił twórczych, społecznie najważniejszym źródle postępu i rozwoju.

(Fragmenty referatu Komitetu Centralnego, wygłoszonego przez I sekretarza KC Wojciecha Jarużelskiego na X Zjeździe PZPR)

Władysław Broniewski

Najbliższa Ojczyzna

Nad ranem to już nie wiadomo, co robić z liryką rzewną, należałoby iść do domu, a jestem w domu, na pewno.

Więc sny? I znów jestem w Płocku, i znów konwalie (psiakrew), a w Radziwiu kaczenie i jaskry i o świcie, i o północy.

Należałoby pójść do Brwilna albo do Łącka. Sprawa nie bardzo pilna, ale tam taka łączka,

taka łączka, gdzie pachną storczyki nad jeziorem przeczudnie modrym, gdzie czeremcha naprawdę dzika, gdzie fale, takie mądre,

przybliżają się, żeby je kochać jak córeczkę... Pójść dalej, jeszcze trochę nad rzeczkę, a tam małże, ślimaki, pijawki i kity trzcin, i wodne lilie. Przejrzyć się w stawku przez chwilę:

przeżyłem łąkę i las sosnowy, i jezioro, i Płock, i Wisłę... Ojczyzna moja, znowu, znowu kocham i myślę.



rys. ROMANA KASZCZYŃSKIEGO



JESTEŚMY JEDNĄ RODZINĄ...

ROZMOWA Z WIKTOREM BRYJAKIEM — KIEROWNIKIEM LUDOWEGO ZESPOŁU PIESNI I TANCA „SOŁONIEC” ZE ZŁOTOWA KOŁO ZAR

— Jak doszło do powstania zespołu?

— Pan Stanisław Maćkowiak, dyrektor GOK-u, poprosił nas na jednym z zebranych w klubie, żebyśmy zastanowili się co robić, by w Złotniku coś zaczęło się dziać i tak, w czasie dyskusji, zrodził się pomysł utworzenia zespołu. Było to w lutym 1984 roku. Już w następnym tygodniu odbyło się pierwsze zebranie chętnych do uczestniczenia w próbach. Przybyło 50 osób — jak na Złotnik jest to bardzo dużo.

— O ile mi wiadomo, zespół opiera swój repertuar na odległych tradycjach przodków mieszkańców Złotnika...

— Tak, począwszy od repertuaru i kościółka a skończywszy na nazwie, wszystko to opiera się na barwnej historii naszych przodków 150 lat temu przodkowie nasi wyemigrowali z Czadca na Śląsk Cieszyński i osiedlili się w regionie Bukowiny, na terenie dzisiejszej Rumunii i ZSRR. Pierwsza wieś, jaką tam założyli nazywała się Soloniec. Po wojnie część powróciła do Polski, między innymi mieszkańcy Złotnika, a część przetrwała różnymi po głoskami o ciężkim życiu na Ziemiach Zachodnich, pozostała na tamtych terenach.

— Może wróćmy do początków zespołu?

— Mimo drobnych przeszkód jakoś to wszystko zaczęło składać się w sensowną całość. Z 50 osób, które przyszedły na pierwsze spotkanie, zostało 38. Pierwsze próby i występy zaczęliśmy bez muzyki. Później mieliśmy skrzypka, ale największym skarbem dla zespołu stał się pan Leon Niedziela, senior zespołu, lutnik z zamilowania. Pan Niedziela w wieku dwunastu lat wykonał swoje pierwsze skrzypce. Dziś liczy sobie 68 lat i służy nam nie tylko jako wykonawca instrumentów i muzyki, ale także przypomina teksty dawnych piosenek obyczaj przodków. My z żoną pamiętamy jeszcze naszą gwara, ale młodzi muszą się jej uczyć.

— Mogłby pan przedstawić próbki tej gwary?

— Proszę bardzo — na przykład fragment z pieśni opowiadającej o naszej wędrowności i powrocie do ojczyzny: „Zostawaj się zdrowe solonieczkie pole / nie budom chodź po nim nóżki moje / uż nadeszła chwila kiedy do ojczyzny / powróćcie nam trzeba z swojej ojczyzny.” Albo z weselszego repertuaru: „Zapnijem se pieszka / i kocka ku dlatu / pojadem, pojadem po babe bo gata...”

Nasze stroje wykonane są na wzór oryginalnych, i tak: mężczyźni ubrani są w nogawice, czyli spodnie płócienne, białą koszulę haftowaną, kaptańki — rodzaj kamizelki, kierzce i kapelusze z piórem; kobiety noszą pilśniową spódnicę, pięknie zdobioną koszulę i także kierzce.

— Zdaje sobie sprawę, że dwa lata istnienia zespołu, to zbyt mało, aby można było mówić o jakimś imponującym dorobku, ale mimo krótkiego czasu, jaki minął od powstania zespołu, zdobył on już całkiem poważne laury.

— Przez dwa lata daliśmy około 30 występów. Największym naszym sukcesem jest zdobycie pierwszego miejsca na I Ogólnopolskim Przeglądzie Zespo-

łów Kół Gospodyń Wiejskich w Kielcach. Mamy już dość dużą ilość dyplomów i nagród, jest tego tyle, że myślimy o utworzeniu jakiejś stałej wystawy dorobku zespołu.

— Który z występów należał do najtrudniejszych — ten w Kielcach a może na innym przeglądzie tego typu?

— Największą treść mieliśmy w czasie występu w Złotniku. Tak się składa, że w naszej wsi nie ma sali od powiednie do występów, dlatego wystąpiliśmy w Złotniku po sześciu miesiącach istnienia. Występ odbył się ja tem, na osobistą prośbę soltyśa, na pro wizorycznej estradzie. Z tej okazji An na Bryjak napisał tekst o zespole i mieszkańcach Złotnika.

— Pani Bryjak nosi takie samo nazwisko jak i pan, rozumiem, że należy ona do pańskiej rodziny?

— W zespole i w Złotniku na dobrą sprawę wszyscy jesteśmy krewnymi, bo jak by nie patrzeć, to albo ktoś jest ze strony rodziny mojej żony, albo mojej.

— Domyślam się, że utrzymujecie państwo bliskie kontakty z krewnymi z Rumunii. Jak oni zareagowali na utworzenie zespołu?

— Wielu z nich widziało nawet nasze występy. Reakcja jest zawsze podobna — wielkie wzruszenie, płacz. Ale najciekawsze jest to, że pozazdrościli nam „Soloniec” i sami zakładają podobny zespół.

— Czym dla państwa jest „Soloniec”?

— Przede wszystkim daje nam rozrywkę, której w Złotniku tak brakowało, a poza tym dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy o naszych przodkach i to sobie cenimy najbardziej.

— Jakże są plany zespołu na najbliższą przyszłość?

— Chcemy wprowadzić do zespołu dzieci, myślę że będzie to z pożytkiem i dla nich i dla zespołu. Szykujemy się też na Przegląd Zespołów Folklorystycznych w Zielonej Górze, który od będzie się jesienią tego roku.

— Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: PIOTR PIOTROWSKI

P.S.

W czasie mego pobytu w Złotniku wy nikła sprawa, która bułwersuje całą wieś a pośrednio dotyczy zespołu. Spo lecznym nakładem sił i środków po wstała w Złotniku budownictwo nowej świe tlicy z salą widowiskową na 250 miejsc. Mieszkańcy włożyli dużo wy silku w powstanie budynku świetlicy, który już w najbliższym czasie zostanie przykryty dachem. W ciągu jedne go dnia wykonano wykop pod budy nek. Niestety kolejna inicjatywa jest hamowana za urzędniczych biurów. Społeczny komitet budowy świetlicy od dwóch lat dobija się w Urzędzie Gmi ny o dokumentację budynku. Jeśli pow stanie wreszcie oczekiwana dokumenta cja za 700 tys. złotych, wówczas na bu dowie pojawi się inspektor nadzoru, który zainkasuje pół miliona złotych za obecność na budowie, która w swej naj ważniejszej części dobiega końca. Z sy tuacji doskonale zdaje sobie sprawę na celnik gminy.

Czy nadal stać nas na trwonienie ludzkiego zapachu?

P.P.

Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

Ciąg dalszy ze str. 1

Brak jest lubianek. Nawet tych zgini-
łych. Centrala daje sygnał: rozpoczyna
my eksport na kierunek radziecki. Za
czyna się wydawanie platonów. Są to
łoporne, zsywane drutem, drewniane,
nieporęczne skrzynki, których stopy za-
mują stodołę.

— Co za idiota wymyślił takie opa-
kowanie? Jak z taką bzdurą zbierać
truskawki w polu?

— Będzie pan zbierał do lubianek i
przesypywał.

— Ba! Ale jak po tej operacji bę-
dzie wyglądała truskawka?

— Skąd nazwa tego świństwa?

— Prawdopodobnie ma to związek z
greckim filozofem Platonem. Opakowa-
nie zostało wymyślone przez ateńskie-
go niewolnika podczas zbioru oliwek.
Na złość, przeciw panu.

Plantatorzy liczą. Truskawka ma być
z szypułkami. Siedemdziesiąt procent
ubarwienia. Biorą więc platony. Ce-
na kilograma mniejsza, jest premia

Spółdzielni Ogrodniczo — Pszczelar-
skiej.

— Straty polityczne połknie partia.
Długo będą się odbijały czkawka. Bę-
dą nie do odrobienia Straty finanso-
we poniesie spółdzielnia. I też będą
one nie do odrobienia. Była to argu-
mentacja nie do odrzucenia. Do pun-
ktu dotarła karteczka z poleceniem:
skupować do końca.

— A co będzie z transportem?

— Czekaj do skutku.

Skup zakończył się o 23.00. Samo-
chód wielka zamrażarka z warszawską
rejestracją, przyjechał o pięć rano.
Dwaj kierowcy zerwani zostali z dwu
godzinnego snu, jechali przez całą noc.
Zdzwili się osobliwostom platonów,
obejrżeli i policzyli truskawki, stwier-
dzili, że są dobre, i zapadli w sen. Sie-
dem ton truskawek zostało załadowa-
nych do olbrzymiego pojazdu w ciągu
trzech godzin przez trzy osoby, każda
rozlatująca się lubianką, każdy platon.
Był to nowoczesny samochód przysto-
sowany do ładowania mechanicznego,
przynajmniej przy użyciu podnośnika
widłowego, albo specjalnej rampy.

miasta, na wszelką okoliczność przy-
szła do Zielonej Góry swego eksperta.
Może on uczestniczyć aktywnie w sku-
pie. Towar przez niego zakwalifikowa-
ny jako dobry jest dyskwalifikowany
przez macierzystą firmę. Straty są u-
gromne. Idą w miliony złotych. Czyn-
nik ludzki to kierowca, który ra co
dzień wozi margarynę z mleczarni i nie
ma zielonego pojęcia o delikatności tru-
skawki, natomiast doskonale zna swoje
uprawnienia. Dla kilku godzin snu zo-
dnie z przepisami poświęci ładunek
wart kilku milionów, nie fatygując się,
aby włączyć mechanizm mroźni. Taki
kierowca skierowany na Śląsk — bo
wiesz niosła, że nie ma tam truska-
wek, skierowany właściwie bez adresu,
wrócił po czterech dniach z pełnym la-
dunkiem. Jak ten ładunek wyglądał,
czelnik sam się domyślił. Oczywiście
bank to wszystko obliczy.

POZOSTAJE SPRAWA: CO ROBIĆ?

Robi się to, co można. A można po-
dzielić straty między plantatorów i po-
średnika, jakim jest Wojewódzka Spół-

SARDONICZNY ŚMIECH TRUSKAWKI

za eksport. Oplaci się, zwłaszcza że są
kłopoty z pozyskaniem siły roboczej.
Placi się zbieraczowi za lubiankę odchy-
pulkowaną, wybranej truskawki 50
złotych. Niekiedy zbieracz biorą je-
szcze haracz, co dziesiątą lubiankę dla
siebie. A mimo to, brak chętnych do
ciężkiej harówki w smagającym słoń-
cem polu. Jeden z plantatorów wpadł
na pomysł. Jeździ werbować ludzi do
pracy na oddział leczenia alkoholików
w szpitalu psychiatrycznym. Inni lata-
ją personalne dziury wujami, ciociami,
babciarni, znanymi. Bo truskawka nie
czeka.

Spływają platony z eksportowym to-
warem, jak malowanie. Truskawka jak
z obrazka, lub z ekspozycji na targach
międzynarodowych.

— Jak takim opakowaniem obcią-
żać samolot?

— Nie nasza sprawa.

Smochod jedzie do Babimostu. W
dwie godziny później informacja: —
Wstrzymać skup na eksport. Samolot
nie przyleciał. Towar rzucony został do
sklepów w Zielonej Górze. Spółdzielnia
poniosła straty finansowe. Jest do tyłu,
choć na truskawce zawsze wycho-
dziła dobra.

Na sagu drewna, leżącym na podwó-
rzu, powstał klub dyskusyjny, rozwa-
jący skutki katastrofy w Czernobylu i
wycieku zachodniemieckich mate-
riałów promieniotwórczych. „Gazeta Lu-
buska” z optymistycznym materiałem
o sezonie truskawkowym, napisanym
przez panią red. Sołską, przechodzi z
rąk do rąk. Tekst czytany jest na gło-
sy. Scena z opisem działalności za-
chodniemieckiego importera truska-
wek, pobierającego próbki liści, gleby
z pól, po to by badać ich promienio-
twórczość na własnej aparaturze, po-
witana jest entuzjastycznymi oklaskami.
Jak dobry skecz w kabarecie. Cy-
tuja wypowiedź wicepremiera na kon-
ferencji prasowej, że ani jeden kilo-
gram rolniczych pól nie może zo-
stać zmarnowany.

Kierowcy opowiadają o ośmio-
godzinnym wyczekiwaniu przed brama
mi przetwórci i chłodni.

— Zobaczcie, co tu się będzie dzia-
ło w sobotę!

W sobotę skupiono 18 ton truskawek.
To bardzo dużo. I nikt nie zdawał so-
bie sprawy z tego, co dzieć się będzie
w niedzielę.

— SKUPOWAC PRZEZ GODZINĘ!

od czterech do piętnastu! brzmiała
instrukcja ze sztabu w Zielonej Górze.
Wszystkie przetwórci i chłodnie w
Polsce są przepełnione. Centrala zapew-
nia, że plantatorzy są o tym fakcie
oinformowani, choć w tym punkcie
skupu tego nie potwierdzono. Kolejka
była taka jak zawsze.

— Co mamy zrobić z truskawką?

Wyrzucić?

Plantator wziął platon, ponad 8 kilo-
gramów truskawek, wysypał sobie na
głowie, rozdeptał owoce, miazgę zebrał
łopatą i wyrzucił ze stodoły. To, co po-
wiedział, nie nadaje się do cytowania.
Inny postawił furę i zablokował wej-
ście do stodoły. — Nie ruszę się, do-
póki nie weźmiecie truskawek!

Zawiązał się komitet zaradczy, wła-
ściwie komitet oporu, albo strajkowy z
Mieczysławem Hebda, który pomagał
synowi w uprawie truskawki. Siedem
ton, jak powiada wicepremier, nie mo-
że się zmarnować! Wyłoniono delega-
cję do Komitetu Wojewódzkiego
PZPR. Pojechali do telefonu odległego
o ponad dwa kilometry. Dzwonił też do
KW PZPR, do Urzędu Wojewódzkiego.

— Teraz, gdybyśmy mogli, wiedzieli-
byśmy od czego zaczynać robotę — mówi Mie-
czysław Hebda, emerytowany działacz
partyjny, komunista, który działa w ko-
mitacie, którego członkowie mają o ko-
munię jak najgorsze zdanie. Delegaci
plantatorów odkrywają prawdę, że w
najważniejszych budynkach Zielonej
Góry o pewnych porach i w pewnych
dniach, funkcjonują jedynie dyżurni,
których wpływ na sytuację awaryjne
takie jak na punkcie skupu, są żadne.
Dyżurni są skrzynkami pocztowymi do
zbierania informacji, które nie zawsze
są w stanie przekazać decydująco. Kle-
rownik Wydziału Rolnego KW PZPR
Daniel Walus został zerwany od imie-
ninowego stołu. Przy jego pomocy ze-
brano kierownictwo Wojewódzkiej

Smiertelnie zmęczeni kierowcy ruszyli
w drogę powrotną do Warszawy o go-
dzinie ósmej rano.

PRAWDA O MOCARSTWOWOŚCI

truskawkowej PRL, okazała się pewni-
kiem na glinianych nogach. Przecho-
walni i przetwórci w Polsce jest za ma-
ło. Nie są one przygotowane na uro-
dzaj czegokolwiek. Nawet na ewentu-
alny „wysyp” miesiąc. Po wtóre, drugim
slabym ogniwem jest transport. Woze-
nie tak delikatnych owoców jak tru-
skawki nieprzystosowanymi pojazdami,
krytymi brezentem, jest w określonej
sytuacji atmosferycznej niesłychanym
ryzykiem, które się mści. Prymitywne
wyposażenie, a właściwie brak jakiego-
kolwiek wyposażenia punktów skupu,
jest niczym nie potwierdzona wiara w
cud. Wreszcie trzeci element sprawy
— ludzie. Uprawa truskawki, jak się
okazuje, jest zajęciem uboższym wielu
ludzi, którzy nie zadowolają się do-
chodami na państwowej posadzie.
Wśród plantatorów jest przekrój całe-
go społeczeństwa. Pedagodzy, leżynie-
rowie, urzędnicy, prawnicy a również



Fot. KRZYSZTOF MEZYŃSKI

i rolnicy. Z całą pewnością uprawa
truskawki jest w naszych warunkach
społecznych zajęciem szlachetnym, naj-
ekonomiczniejszą formą wykorzystania
ziemi. Ci, którzy się tego zajęcia po-
dejmuja, a praca jest wyjątkowo sier-
miężna, liczą na określone, uczciwie
zarobione pieniądze. Rodzina, która się
przeniósła z Zielonej Góry do Bielska,
przyjeżdża wykonywać swój urlop na
plantacji. Rzucają ją w ciągu
trzech dni, ale chce wysłać syna nad
Balaton. I nie wie, czy na ten jeden
Balaton zarobi. Ale czynnik ludzki, to
również ludzie pośredniczący. Obsługa
punktów skupu również ma interes w
sprawnym funkcjonowaniu. — Placi
się od zakupionej tony. W pewnym
sensie byt całej spółdzielni zależy od
pomysłności przeprowadzonej kampanii
skupu truskawek. A to zależne jest od
rozpoznania przewidywanych pól,
zgodnie z tym zawiera umowy kontra-
ktacyjne. Zielonogórska Spółdzielnia O-
grodniczo-Pszczelarska została zaskoczona
na klęską urodzaju. Z jednej strony in-
strukcja, że należy skupić wszystko, co
skupić można, zaś z drugiej strony fak-
tyczne możliwości przetwórstwa i prze-
chwalnictwa doprowadziły do sytuacji
głęboko frustrującej. Odbiorcy wybrzy-
dzają. Hortex, dbając o swoje interesy,
robi wszystko, co chce. Zielonogórska
spółdzielnia nie wysłała nawet swego
specjalisty do odbiorcy w Srodzie Wiel-
kopolskiej. Właściciel bez dyskusji pod-
niósł rękę do góry. Hortex z tamtego

złonych do odbiorców odrzutowcem,
każdą truskawkę pojedynczo zawinięta
w staniol, po 75 złotych za kilogram,
albo też truskawkę odczyszczonej po
dwadzieścia złotych za kilogram, albo
trzydzieści złotych, jednak zawsze poni-
żej ceny kosztów zbierania. Skutek: za-
miał ton piętnastu, skupuje się tony
dwie. Poza gatunkiem oddają plantato-
rzy towar, z którym nie wiadomo co
zrobić. Większość z nich nie hoduje
świń.

PLANTATORZY

na których trzyma się ta cała polska mo-
carstwość truskawkowa, czolowe
miejsce w Europie, są ludźmi przede-
siębiorczymi i dynamicznie myślącymi.
Wola klęski nieurodzaju od klęski uro-
dzaju. W drobnokapitałistycznym my-
śleniu groźba porzucenia plantacji, ich
zaoraniem, zaniechaniem i rekonstrukcji
i procesu poszerzania. Na ogół są to
groźby czcze, coroczne. Teraz jest alibi:
radioaktywna chmura, niefart, który się
w przyszłym roku odwróci. Śmieją się
jednak z zapewnień prasowych, jako
żart traktują wypowiedzi ministrów i
działaczy politycznych. W istocie jed-
nak jest to śmiech ponury. A w końcu
nie wiadomo do końca. Może jest to
sardoniczny śmiech ukochanej truskaw-
ki?

RYSZARD ROWIŃSKI

— Co Pan tam chowa w tej kieszeni?
— Fotografie moich dwóch synków. Proszę, niech Pani spojrzę.
— Sliczne maluchy. Nie mają chyba po więcej, jak po 3-4 lata, co świadczy, że i lata jest młody, tak zresztą, jak wygląda. Kto więc naliczył Panu tych 33 lat pracy?
— Nie 33, tylko 32. W tym 23 lata przepracowane w telewizji. Naliczyłem sobie sam. Do tego 600 premier na scenach, estradach i w studio. Dramaty, komedie, kabarety, koncerty, widowiska.
— Pamiętam coś z Panskim nazwiskiem w czołówce, co nazywało się „Muzyka i moda”.
— Wcześniej był telewizyjny kabaret „Express”. Ale nie wliczajmy, szkoda czasu.
— Powiedzmy tylko, że nazwisko Wowa Bielicki coś w kraju znaczy i się chaczowi, widzowi, czytelnikowi, coś mówi. Mimo to maszynistka w mojej redakcji przepisywała tekst „poprawia” mi reżyseria Wowa Bielicki na „reżyseria Wowy Bielickiej”. „Myslałam, że chodzi o tę aktorkę” — powiedziała — „tylko imię nie bardzo mi pasowało.” Co Pan na to?
— Kłaniam się pani maszynistce.
— Parę osób mnie pytało, czy nie wiem, jak naprawdę ma na imię ten nasz reżyser?
— Gdy byłem chłopcem wolano na mnie Woweczka, zdrobniale od Włodzimierza, potem w skrócie Wowa i tak już zostało.
— Przecież to Pan był w „Bim-Bom”! Czasy te owiane są legendą.
— W latach 1945—1960 mieszkalem w Gdańsku. Tam przeżyłem piękne lata młodości. Teatr „Bim-Bom” zakładałem wspólnie z Bogumiem Kobiłą, Zbyszek Ciembulski i Jackiem Fedorowiczem. Byłem autorem pierwszego programu co najmniej w trzech czwartkach, a także następnych. Razem występowaliśmy w teatrze, razem zagrałiśmy w paru filmach.
— Tak, zdarzyło mi się widzieć Pana na ekranie. W ub. roku było 30-lecie „Bim-Bomu”.
— Niewiele nas zostało, tych którzy ten teatr tworzyli.
— Jeszcze chwila wspomnień, tym razem wspólnych. Poznaliśmy się podczas turnieju miast Międzyzrzecz—Srebrna, pamięta Pan? Pan reżyserował widowisko, ja napisałem kilka tekstów piosenek.
— Było to chyba w 1974 lub 75 roku. Przypominam sobie, że wygraliśmy my, to znaczy Międzyzrzecz.
— Lubi Pan pracować z amatorami?
— Bardzo lubię. Praca z rodzającymi się artystami jest wdzięczna i ciekawa, a przekazywanie im wiedzy jest udziałem w żywym procesie kulturotwórczym.
— Reżyserował Pan nasz Festiwal w roku ubiegłym i teraz, po raz drugi. Jak więc przygotowywał Pan również eliminacje centralne tegorocznego Konkursu Piosenki Radzieckiej w Radomiu i Tarnobrzegu. Jak Pan ocenia cały ten ruch, któremu miał Pan okazję teraz przyjrzeć się bliżej?

— Masowy udział młodzieży w tym konkursie jest po prostu fascynujący. Myślę, że jest to jedyny w naszym kraju prawdziwy i rzetelny konkurs dla amatorów śpiewających piosenki. Spośród tych amatorów co rusz ktoś wysuwa się do przodu i staje się artystą. Jest to wspaniałe, gdy człowiek może przyczynić się do takich przeobrażeń.

— Obserwowałam Pana podczas prób w amfiteatrze. Nie rozpieszczał Pan swoich podopiecznych.

— Staram się być trochę starszym kolegą, ale też trochę nauczycielem i tatą. Ktoś młody i niedoświadczony, kto chce wystąpić na festiwalu przed paroma tysiącami widzów i kilkunastoma tysiącami widzów, musi przedtem trochę popracować nad sobą.

— Co jest w tej pracy najważniejsze?

— Zrozumienie sensu działania. Po co tu jestem, co mam do przekazania. Najważniejszy jest zawsze stosunek wykonawcy do dzieła, które przedstawia.

— Co trzeba wiedzieć i o czym pamiętać, chcąc być artystą?

— Trzeba znać i pamiętać rolę, w przypadku piosenki melodię i tekst. Ale to nie wszystko i to właśnie trzeba wie-

— Oczywiście. To samo czeka np. piosenkę literacką, która być może pójdzie w kierunku bardziej psychologicznym i zmysłowym, dając większe szanse wykonawcom? Piosenka „pop” czyli tingel-tangel może odejść od ekstrawagancji siłowych i stanie się bardziej humanistyczna? Mogą się np. pojawić panowie w smokingach oraz panie w koronkach... Ale my tu teraz wrózmy z fusów! Nie zapomnę nigdy, jak w Opolu pewien juror postawił same zera „Kolorowym farmarkom”, a potem piosenkę tę, solo i chórem, śpiewano w całej Polsce przez co najmniej trzy lub cztery lata.

— Gdy amatorzy przywożą piosenki liryczne, słyszy się zarzut, że robimy festiwal „niemodny”. Kiedy dla odmiany przeważają piosenki w rytmach młodzieżowych, niektórzy uważają, że festiwal jest mało radziecki i zbyt światowy.

— Moim zdaniem festiwale ubiegłoroczny i tegoroczny były bliskie aktualnym trendom w muzyce rozrywkowej ZSRR. Wypowiadałem się o dwóch ostatnich, ponieważ je dobrze znam.

— Czytałam w interesującej rozprawie o operetce, że gatunek ten zamiera m.in. z powodu braku gwiazd, których się nie kreuje, a jeśli jakaś gwiazda stworzy się mimo wszystko sama, to jej się nie lansuje. Nie można chyba tego odnieść do estrady.

— Generalnie biorąc, u nas lansowane są tylko gwiazdy ze względów politycznych. Np. jest otwarcie wystawy, na której artysta prezentuje swój dorobek. I co pisze prasa? Że taka i taka osobistość wystawę otworzyła, a taka była obecna itd., a na końcu dwie linijki o artyście. Podobnie wyglądają relacje z widowisk, koncertów, premier. A przecież taka wystawa czy koncert stanowi czasem życiowe osiągnięcie twórcy.

— W sztuce nie może być pełnej demokracji, bo nie wszystkich jednakowo natura obdarzyła talentem.

— Także szczęściem, pracowitością, siłą przebiecia, osobistymi walorami i tysiącem innych uwarunkowań, potrzebnych do tego, by coś znaczyć w jakieś dziedzinie. Ja jestem za gwiazdą, tak w teatrze, na estradzie i w salach koncertowych, jak w innych sztukach.

— Kultura, w niej także to, co znajduje się w sferze Pańskich zainteresowań zawodowych, jest co pewien czas przedmiotem dyskusji. Ostatnio mówiono wiele o kulturze w okresie przed X Zjazdem.

— Słusznie, że się dyskutuje, krytykuje, wznieca nowe tematy, pobudza ludzi do myślenia, tworzenia, działania.

— Mówi się o istnieniu, bądź braku programu kultury. Co to takiego ten program i czy potrzebny jest także rozrywce?

— Jest to, jak rozumiem, planowanie zespołu działań różnokierunkowych, które powinny się gdzieś zbiegać. Program taki niewątpliwie istnieje, są przecież instytucje specjalnie do tego powołane. Jednak z kulturą w rozrywce, to trochę jak z modą. Przychodzi nagle czas na kabarety — i rodzą się kabarety. Był czas rozkwitu piosenek stylizowanych na francuskie, włoskie, anglosaskie, był okres estrady aktorskiej z małymi inscenizacjami i moda wielkich piosenkarskich popisów. Chodzi o to, jak sądzę, aby wszystkim tym sterował człowiek z instynktem społecznym. Nie egości, myślący tylko o własnej karierze. „Zrobię koncert, napiszę sztukę, urządzę festiwal, tylko po to, żeby się zasłużyć, żeby mnie dobrze ocenili decydenci”. Takie podchodzenie do kultury jest szkodliwe. Ktoś nazwał je orientacją pionową. Kulturę powinien aranżować i tworzyć człowiek, dla którego ważny jest przede wszystkim cel nadrzędny, czyli społeczny oddźwięk i społeczny rezultat działania, a potem do piero własna kariera.

— Dziękuję za rozmowę, a ponieważ niebawem wyrusza Pan z grupą tegorocznych laureatów na tournée po ZSRR, życząc udanych koncertów i wspaniałych wrażeń.

Rozmawiała: HALINA ANSKA

P.S.
Za zezwoleniem p. Wowa Bielickiego publikujemy rozmowę bez autoryzacji.

ROZRYWKA JAK MODA

Z reżyserem Wowa Bielickim rozmawia Halina Anska



— Kulturę powinni tworzyć ludzie z instynktem społecznym...
Fot.: TOMASZ GAWALKIEWICZ



Jeszcze o Łagowie

Po lekturze „Nadodrza” (nr 12 z br.) w części poświęconej gminie Łagów nasunęły mi się niewesołe refleksje, którymi chcę się podzielić.

Ocena naszej gminy wypadła raczej negatywnie. Trudno się dziwić, chyba inaczej wypadła nie mogła. Łagów to piękny zakątek Ziemi Lubuskiej, którego historia sięga XIII wieku, zwany „perłą Ziemi Lubuskiej”. Tutaj odbył się pierwszy w kraju festiwal filmów, zanim zaczął nas podgryzać Gdańsk. Łagów jest załedwie tylko wsią. I jako wieś jest traktowany przez władze zwierzchnie. Już nam się wypomina, że wieś a buduje wielkim nakładem kosztów oczyszczalnię ścieków, która — trzeba tu otwarcie przyznać — w obecnym stadium i projekcie nie za bezpieczy całkowicie naszych pięknych jezior od zanieczyszczeń.

Można w tym miejscu snuć katedrofilne wizje o jeziorach zamienionych w puchnące szamba, o zamku na skarpcie zamieniającym się w stertę gruzu. Można by. Ale póki co, może udałoby się jeszcze ocalić dla potomnych to co ocalone być po winno.

Zamek został oddany w użytkownik nie przedsiębiorstw turystycznych „Lubtour” i to, co tam się dzieje, z kulturą nie ma nic wspólnego. Szkoda, że w czasie kiedy zamek przekazywano po remoncie jako kompleks gastronomiczno-handlowy, ówczesne władze gminne czy gromadzkie nie wyeksploatowały chociażby kilku pomieszczeń na cele kulturalne. Przynajmniej do czasu, kiedy wybuduje się

dom kultury z prawdziwego zdarzenia. Z wypowiedzi wicewojewody zielonogórskiego, który był na sesji GRN poświęconej kulturze, wynika, że władze województwa są zadowolone i wdzięczne „Lubtourowi” za użytkowanie tego obiektu, bo w przeciwnym razie obowiązek utrzymania zamku obciążałoby konto województwa.

A nasza gmina kultura z siedzibą GOK-u w jednej z zabudowanych bram, skupia swą działalność na 60 m². Co można wyzierać mając takie lokum? Nie ma sali widowiskowej, w której można by wystawić spektakl teatralny, zorganizować występ zespołów młodzieżowych, muzyki poważnej. Pozostaje amfiteatr, gdzie się odbywają dyskoteki, gdzie zbyt hałaśliwa muzyka denerwuje starszą część naszego środowiska a i wczasowiczów z pewnością też. Czy można kulturę tworzyć na ulicy? Sądzę, że nie.

Ostatnio oglądałam w domu wczasowiczów lasów państwowych przepiękną wystawę, plon międzynarodowego pleneru malarstwa. Umieszczone na świetlicy na stołach, fotelach i ścianach aż się prosiło o to, by znaleźć dla niej odpowiednie lokum, z właściwym oświetleniem i wyeksponowaniem prac.

Myślę, że gdyby z każdego pleneru, jaki odbywa się w Łagowie, ołtarzowano chociażby jedną pracę, a chyba ofiarodawców byłoby znacznie więcej, mielibyśmy dziś galerię przeróżnego malarstwa, grafiki itp. jakiej nie powstałoby się renowowane muzeum.

Obawiam się, że kiedyś okaże się, iż nasze gminne społeczeństwo nie będzie już miało żadnych potrzeb w zakresie kultury i gdy już będą w przyszłości warunki do jej tworzenia, trzeba będzie od nowa uczyć odbierać tę kulturę. A może wystarczy za całą kulturę wypity w barze kufel piwa, a może coś mocniejszego?

Bo na wsi to tak się ułożyło: chcesz mieć chłopie dom kultury, to go wybuduj w czynnie społecznym, chcesz mieć dywanik asfaltowy, chodnik przy drodze, porządną ośrodek zdrowia, szkołę, boisko czy basen pływakki, przystanek autobusowy, remizę — to buduj sam! Czyny społeczne są same w sobie zjawiskiem po-

żądanym, ale czy wszystko można zrzucić na ich karb, sądzę, że jest w tym dużo przesady.

Czy mieszkańcy miast sami budują sobie teatry, przychodnie, lekarznie, szpitale, dworce, jezdnie i baseny pływackie? Dlaczego jednym daje się za darmo, a inni muszą bu-dować to sami? No właśnie dlatego — czy ktoś może mi na to pytanie odpowiedzieć?

Rolnik pracuje ciężko a w wiesi się nie inwestuje, a potem rozkłada się ręce i mówi, że wiesz to pu-sztynia kulturalna, a ludzie w niej mieszkający nie mają żadnych potrzeb w tym względzie. Dlatego ta wiesz nam się starzeje, pustoszeje, prawie wszyscy młodzi, zdolni, odchodzą z niej na zawsze. A co można wymagać od emerytów i rencistów, przecież im wystarczy to, co mają, to co jest. Taka jest rzeczywistość gminy. A poki co, to w Łagowie odbył się kolejny przegląd utworów tabularnych.

Pewne przedsiębiorstwo budowlane, budujące blok mieszkalny wycięło drzewa nad jeziorem. Ponoć inwestor ma zapłacić karę kilkunastomilionową. Pieniądże z jednej kasy państwowej przejdą do drugiej a drzewom to życia nie zwroci. Za to mieszkańcy bloku będą mieli ciekawy widok z okien na betonową pu-stynię.

Mury obronne zamku wał się już nie na żarty. Park, kiedyś piękny, za zamkiem przy jeziorze zliczeje i zarasta. Po raz kolejny na zabyt-kowej Bramie Polskiej odkryto cegię gotycką, spod szpetnego tynku. Dywanik asfaltowy na bruku starowki jest tam nadal, przybito mu parę wyboistych dziur.

Wypada mi teraz zaapelować do władz wojewódzkich (oczywiście je-żeli wojewodowie czytają „Nadodr-ze”) o ratunek dla naszej perły, która ostatnio nabrała nam szarego blasku. A może i dla pięknego zamku znajdzie się jakiś „bogaty wujek” i znów będzie można, jak za daw-nych dobrych czasów usłyszeć mazurki Chopina, kiedy to zamek był we władaniu Towarzystwa im. Wła-dysława i przebywali w nim słynni artyści? Czekamy na ukłon w stro-nę Łagowa. Czas nagli.

KRYSZYNA MUCHA
Jemiołów gmina Łagów

8-letnia Monika nie wróciła ze szkoły do domu. W lesie koło Jesionowa w gminie Trzebiel znaleziono zwłoki dziewczynki. Po rocznym dochodzeniu Sąd Wojewódzki w Zielonej Górze wydał prawomocny wyrok, skazując mordercę na karę 25 lat pozbawienia wolności.

Dziennikarz niech spełni rolę porządkującego głosu świadków, podejrzanych, opinie biegłych. Wszystko więc, co poniżej, będzie zlepkiem cytatów z protokołów przesłuchań, notatek urzędowych milicji i prokuratury, opinii ekspertów, wypowiedzi mieszkańców wsi, składających się na obraz dnia, w którym się to wydarzyło.

W Jesionowie nie ma szkoły podstawowej. Dzieci asfaltówką przez las chodzą do szkoły w Niwicy, licząc na to, że ktoś je podwiezie. Najczęściej jednak starsi jeżdżą rowerami, młodszy chodzą piechotą. Poł biedy późną wiosną czy wczesną jesienią, ale zimą, kiedy śniegi, plucha, mróz, niejedna matka kłnie, widząc swoje dziecko przemaznięte, zziębnięte. Wiesz mała, położona wśród lasów, biedna, to i szkoły podstawowej nigdy tam nie będzie.

nie może być tajemnicą jednej rodziny. Wiesz o poszukiwaniach dziewczynki odcierwała wszystkich od zajęć domowych. Mężczyźni i kobiety zbierali się w różnych miejscach i zastanawiali się, co się mogło przytrafić Monice. Urszula S. przypomniała sobie, że około poł do czwartej na drodze Jesionów-Niwica widziała mężczyznę jadącego motorowerem koloru żółtego lub podobnego. Zapamiętała i to, że mężczyzna nosił wąż, a na głowie miał czapkę.

Snop światła latarki Mirosława C. oświetlał leżącą głowę i ramionami w bajorku dziewczynkę. Od pasa w dół była rozebrana. Poznali ją: Monika. W pobliżu znaleźli tornister, koczki, spodnie, rajtuzy, majteczki, pokruszone słone paluszki.

Szwagier J. Lipnickiego zdenerwował się, zły wrócił do domu sam. Jego żona, choć była późna noc, wstąpiła do sąsiadki. Najpierw poszła do pokoju, w którym spał J. Lipnicki. Zapalił światło, zbudził go i powiedział, że znalazł no martwą Monikę.

— „Kto to zrobił?” — spytał Lipnicki, zrywając się z łóżka. Był przestraszony, trząsł się.

Zięć wszedł do pokoju teściowej, też powiedział, że w lesie przy drodze do Niwicy ludzie znaleźli zwłoki Moniki. Po chwili do pokoju matki przyszedł Lipnicki, dygotał.

— „Gdy przyszedłem do domu, to uszyści już byli — zeznała siostra Lipnickiego. — Poszedłem do kuchni napić się,

Tej nocy niewielu spokojnie spało w swoich łóżkach. Następnego dnia od rana we wsi wrzało. Ludzie przyglądali się sobie, każdy był podejrzany o zabójstwo Moniki. Szczególnie podejrzanie padło na tych, którzy już mieli do czynienia z sadem, więzieniem i milicją. Ludzie przypominali sobie, co robili 7 marca po południu, gdzie byli, co go widzieli, z kim rozmawiali. Większość miała alibi nie do podważenia. Milicjanci kolejno przesłuchiwali mężczyzn i kobiety, dopytywali się o nieznajomych, którzy w tych dniach przebywali w Jesionowie i okolicznych wioskach. Pytali o marki i kolory samochodów, pasażerów i kierowców autobusów, robotników sezonowych leśnictwa. Podejrzanie padło na kierowców wołgi i fiata. Ale poza tym, że niektórzy widzieli te samochody na drodze w pobliżu wsi, niczego milicja się nie dowiedziała.

Po zabezpieczeniu drobnych dowodów, między innymi włosa znalezione na zwłokach Moniki, śladów włókien, wykonaniu serii zdjęć z miejsca wypadku i przeprowadzeniu sekcji zwłok, odbył się pogrzeb dziewczynki. Zebrane materiały milicja przekazała do zakładu specjalistycznego w celu przeprowadzenia badania. Lekarze stwierdzili, że Monika została zgwałcona i uduszona, ale w jej narządach rodnym nie wykryto spermy. Utrudniało to zdecydowanie potwierdzenie gwałtu, gdyby nie ślady rozpychania pochwy dziewczynki tępym, dużym przedmiotem. Tym przedmiotem mógł być członek dorosłego mężczyzny lub narzędzie o podobnym kształcie. Lekarze zastana wialo nie wykrycie śladów spermy w pochwie zgwałconej.

Śledztwo trwało; milicja sporządziła 150 protokołów przesłuchań mieszkańców Jesionowa i okolic. O pomoc prozono posterunki w Bolesławcu, Zarach, Jasieniu. Niekiedy mężczyźni oglądali lekarz, jednak nie stwierdził, by 7 marca odbywał stosunki płciowe.

11 marca pracownicy leśnictwa dostali pobory. J. Lipnicki wziął z kasy

6400 złotych. 3 tysiące oddał matce na utrzymanie, jak każdego miesiąca, gdy pracował, 2 tysiące schował w swoim pokoju. W sklepie w Niwicy kupił 4 butelki taniego wina, wrócił do domu i sam je wypił. Sąsiedzi znali go na tyle, że nie dziwili się, że po każdej wypłacie jest pijany, nie pracuje. Trwało najwyżej kilka dni. Kiedy w klesze ni pusto, J. Lipnicki wraca do roboty i znowu cały miesiąc pracuje jako robotnik sezonowy. „W środowisku posiada opinię negatywną ze względu na nadużywanie alkoholu, pod wpływem którego stawał się agresywny — zapisali milicjanci z posterunku w Trzebielu. — Stronił od płci odmienniej, a zachowanie jego w stosunku do kobiet nosiło znaki nieśmiałości i ustydlivosti. W stosunkach sąsiedzkich bezkonfliktowy. Często opuszczał dni pracy, a zwłaszcza po otrzymaniu wynagrodzenia, które w zasadzie przeznaczał na alkohol.”

Następnego dnia Teresa S. zauważyła, że w pobliżu miejsca znalezienia zwłok Moniki kręci się J. Lipnicki. Gdy zobaczył ją, uciekł do lasu. Spotrzymanie swoje Teresa S. przekazała prowadzącym śledztwo.

Krag podejrzanych był ogromny, ale nikomu nie można było niczego udowodnić. Milicja postanowiła jeszcze raz przesłuchać niektórych mieszkańców Jesionowa, między innymi J. Lipnickiego. Funkcjonariusze zastanawiali to, że nie był obecny na pogrzebie Moniki, spotrzymanie jego matki o zachowaniu wieczorem w dniu odnalezienia zwłok dziewczynki, no i sygnał Teresy S. Zatrzymano go, zaprowadzono do lekarza, który napisał w protokole: „W wyniku przeprowadzonych oględzin ciała stwierdzono jedynie ltnię, dość głęboką: za drapanie długości 2 cm na grzbietowej powierzchni lewej dłoni, u nasady 4 i 5 palca. Innych uszkodzeń nie stwierdzono. W toku oględzin pobrano włosy ze wargorka łonowego oraz głowy.”

Był już jedenasty dzień śledztwa.

Dokończenie w następnym numerze.

ZBRODNIĄ W ZAGAJNIKU

Katarzyna Krzywonos

7 marca 1985 r. nauczycielka Krystyna L. punktualnie o szesnastej skończyła lekcję polskiego w klasie drugiej. Dziewczynki ucieszone wyszły z budynku szkoły, chłopcy zaś zostali razem z nauczycielką. Krystyna L. przypomniała im, by pamiętali o zyczeniach i kwiatkach, wszak jutro Dzień Kobiet. Magdalena, Monika i Sylwia poczuły się głodne, wstąpiły więc do klubokawiarni, kupiły słone paluszki i rozstały się. Monika przypomniała sobie, że zostawiła w klasie cymbalki, wróciła się do szkoły, by je zabrać. Ludzie w Niwicy widzieli, jak szła w obie strony.

Ojciec Moniki wrócił z pracy do domu zmęczony, zjadł obiad i jak to bywa, czmyśn się zajął. Matka dziewczynki wyszła do rodziny, przypominając mu, by nigdzie nie oddalał się, bo zaraz powinna wrócić Monika ze szkoły. Będzie zmęczona, zziębnięta. Ojciec spojrział na zegarek, dochodziła piąta po południu, zaniepokoił się: Monika już powinna być w domu. Wyszła na drogę, pytał, czy ktoś widział jej córkę, czy inne dzieci z jej klasy już wróciły. Nie konkretnego nie dowiedział się, wsiadł więc na rower i drogą przez las pojedechał do Niwicy, rozglądając się uważnie. Na dworze szarzało, było zimno. Pytał, ale poza tym, że ludzie widzieli Monikę w klubokawiarni, z koleżankami, niczego się nie dowiedział. Zdenerwowany zajrzał do teściów w Bogaczu wie, potem do swojej siostry w Jedrzy chowicach, jeszcze raz pojedechał do Niwicy. Moniki nigdzie, żadnego śladu. Denerwował się coraz bardziej. Nie tylko on słyszał o gwałtach w okolicy Trzebiela, Niwicy, Jesionowa, o pobiciach, a nawet zabójstwach. Dawniej kawalerka walila się sztachetami po głowach, po grzbietach, wybiła sobie nawzajem zęby, ale to było dawniej, w czasie zabaw i po pijanemu. Teraz tak się to wymieszało, poeniło, że nie wiadomo, kto zaa Bugu, kto z Poznanskiego. Starszyoch zdradza jeszcze język, obyczajnie świadczone, ale młodzi są sobie równi. No i 7 marca wypadła nie w sobotę ani niedzielę, lecz w czwartek. „Głowe miał pełną rozmaitych przypuszczeń. Opowiadano, że nieznanemu mężczyźnie zmusza chłopców i dziewczynki, by przypatrywały się jego członkowi, dotykały go, a nawet pieściły, i straszyci dzieci, że jeśli komukolwiek powie dza o tym, to on zbije je. Dziwaczejacy starzec stawia wodkę i każe kompanom całować go tam. Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ale u nich we wsi mieszka pederasta. W Trzebielu żyją nawet tacy, którzy gwałcą swoje córki, dobierają się do córek konkubin, oglądają się za dziewczynkami zupełnie dziecinnymi. Wystarczy stanąć w drzwiach restauracji w Trzebielu, by, nie pytając o nic, widzieć te dziwaczne, le, zezwierzęcone, zachłanne twarze. I słyszeć rozmowy podchmielonych. Co drugi by gwałcił, kradł bil.

Przestraszony powiadomił posterunek milicji w Trzebielu, że jego 8-letnia córka jeszcze nie wróciła ze szkoły, choć już minęła szósta. Matka Moniki, wyłkionna jeszcze bardziej niż ojciec dziecka, zaczęła poszukiwania na własną rękę. O dziewiętnastej zapukała do drzwi mieszkania nauczycielki Krystyny L. Pytała rówieśników córki, sąsiadów, ale wszyscy wzruszali ramionami, niczego nie mogli powiedzieć, poza tym, że późno i dziecko powinno już być w domu. Wydawało jej się, że zna wszystkie tajemnice dziewczynki, tyle razy kapała ją, wypyttywała, wyjaśniała, przestrażała.

— „Nie przypominam sobie, aby kiedykolwiek wspominała, że ją ktoś zaczepiał, straszył lub czestował smakołykami — mówiła następnego dnia. — Nie zdarzyło się również, aby godziną jej powrotu ze szkoły przeciągała się. Znalazł jej rozkład zajęć i planowce go dziny powrotów do domu. Wiedziałam, że nie odwiedza kogośkolwiek z koleżanek szkolnych w Niwicy.”

Jesionów jest tak małą wsią, że nie

— „Po wyjeździe z lasu w odległości około dwu kilometrów od Niwicy zauważyłem, jak polami w stronę drogi Niwica-Jesionów szedł mężczyzna — twierdził Antoni G. — Pamiętam, że była wówczas godzina 17,30.

Stanisław W. na tej samej drodze o godzinie wpół do siódmej widział fiata 126 p. Gdy Stanisław W. zbliżył się do samochodu, kierowca ruszył. Ludzie spytali, czy Stanisław W. zapamiętał numer rejestracyjny fiata. Niestety, było ciemno. Mężczyznę wbiegającego do zagajnika około piętej dostrzegł także Waldemar M.

Klara A. powiedziała milicjantowi, że wracała z sąsiadką autobusem, jak to w podróży, rozmawiali o tym i o tym, ale także o C., który „nie żyje z żoną, wólczy się, kradnie i zaczepia ludzi. Podobnie zachowuje się Józef Lipnicki. Nigdzie miejsca nie zagrzeje, ciągle pije i zachowuje się jak wariat.”

— „Po powrocie z pracy do miejsca zamieszkania nigdzie nie wyjeżdżałem — oświadczył J. Lipnicki. — W domu wykonywałem prace na zewnątrz budynku od strony ulicy. Pracowałem do godziny 18. Przejedździłem samochodem osobowe, lecz nie zwracałem uwagi, jakiej marki i koloru. Motocyklistów i motorowerzystów nie widziałem.”

Ale ludzie widzieli obcych we wsi, nikt nie mówił, że J. Lipnicki był na drodze w lesie. Jego o nic nie podejrzewano, tym bardziej, że matka Lipnickiego stwierdziła:

— „Syn tego dnia pracował w lesie, wrócił do domu około godziny 15,10 — 15,20. Przyszedł z pracy trzeźwy, nie miał pieniędzy. Po 10, 15 minutach przyszedł zięć, który pracuje w melioracji, też był trzeźwy. Po zjedzeniu obiadu syn poszedł rąbać drzewo na podwórzu, zięć naprawiał rower i robił coś koło domu. Do domu przyszedł wieczorem, robiło się ciemnowo. Nie wychodził już z domu. W tym dniu syn i zięć byli w ubraniach roboczych. Gdy byli już w domu, to oglądali telewizję. Nie pamiętam godziny, ale było to już po dziesięciu telewizyjnym, usłyszałam ruch na ulicy. W tym czasie córka wyszła z domu na ulicę. Gdy wróciła do domu, to powiedziała, że Moniki nie ma w domu i ludzie jej szukają.”

Co robić? Zastanawiała się cała wieś. Do zebranych przyszedł Mirosław C., który powiedział, że po południu był z bratem Szczepanem w lesie niedaleko drogi Jesionów-Niwica. Dobrze nie pamięta, która była godzina, może piąta, gdy usłyszał trzask łamanych gałęzi. Szczepanowi wydawało się, że słyszał krzyk czy pisk. Mirosław zlekceważył jego spostrzeżenie, powiedział, że to ja kles zgłodniałe zwierzę chce się wydostać na pole. Szczepan nasłuchiwał, je szcze raz usłyszał krzyk, lecz nie zrozumiał ani słowa. Stał i patrzył w stronę zlewającej się w mrok gęstwiny brzoź. Był przekonany, że jest tam człowiek, w kufajce, młody. Z lasu bracia wrócili do domu, nie wspominając o tym, co słyszeli i widzieli. Każdy przypomniał sobie, więc i oni podzieliłi się spostrzeżeniami z sąsiadami, tym bardziej, że Moniki ciągle nie było ani w domu, ani nigdzie.

W atramencie nieba pływały gwiazdy, było mroźno, ale podekscytowani, zdenerwowani ludzie nie odczuwali chłodu. Trzeba iść do lasu, zdecydowali, szukać dziewczynki. Podzieleni na grupy przeczesywali zagajniki, zaglądali pod drzewa, światłem latarek omiatali każdą kepe, butwiejące kłose.

— „Ja wiem, gdzie ona może być” — powiedział Mirosław C. do Andrzeja M. Odłączyli się od grupy i poszli w to miejsce, gdzie Szczepan widział mężczyznę.

Ludzie szli skrajem lasu, uważnie wpatrywali się w zarośla, wyzłobienia w darni.

— „Jest!” — usłyszeli głos Mirosława C. czy Andrzeja M. Pobiegli w głąb lasu.

spotkałam w niej brata Józka. Wróciłam do pokoju i położyłam się spać, ale nie zasnąłam.”

— „Po tej wiadomości już nie spałam całą noc” — powiedziała Lipnicka.

— „Chodziłem po całym mieszkaniu i mówiłem coś do siebie. Matka widziała, że trzęsę się, pytała nawet, co mi jest. Odpowiedziałem, że jestem chory. Do rana już nie spałem — zeznał Lipnicki. Przed wyjściem do pracy w lesie powiedział do matki: — Szkoda dziewczuch.”

NADODRZAŃSKIE PAS DE TROIS „BARBERINY” CAMPANINI

Jerzy Piotr Majchrzak

„Pas de deux” — klasyczny występ dla dwójki tancerzy: najpierw występują tańcząc razem w tempie powolnym, później tancerz usuwa się w głąb sceny, a na przódzie, pod szybszą muzykę, popisuje się tancerka. Później tancerka ustępuje, a popisuje się tancerz i wreszcie kończą „pas de deux” razem. W naszej opowieści kolejność klasycznego występu jest nieco odmienna: ona tańczy sama, potem zjawia się on, stając się podporą jej „pas”, ale taniec kończą osobno. Zjawia się ten trzeci. Po wstąpieniu klasyczny „pas de trois”. Kim są ci tancerze? Ona — Barbara Campanini, bardziej znana jako Barberina, taneczka zaś to sam Fryderyk II Pruski i Fryderyk von Coccei, syn kanclerza pruskiego Samuela von Coccei. Sceny, na której tańczy — to Paryż, Poczdam, Głogów i podgłogowska Wysoka Cerkiew, miejsce wiecznego spoczynku legendarnej tancerki i kurtyzany, rokokowej Barberiny, ognistej Włoszki, której wdziękiem nie oparł się nawet Jego Ekscelencja Biskup Ignacy Krasiński.

Barbara Campanini urodziła się w rodzinie wędrownych aktorów 21 maja 1721 roku w Parmie. Od dzieciństwa zwracała uwagę rzadką pięknością i gibkością ciała. Nie też dziwnego, że stosunkowo szybko znalazła się na scenie, wzbudzając niekłamany zachwyt. W roku 1738 ujrzał ją Ludwik XV. Siedemnaoletnia Barberina zachwycała króla swym tańcem, oczarowała osobistym wdziękiem, subtelnością gestu, lekkością „pas”, zachwytem nie było końca.

Król, który zapalał namiętnym uczuciem do baletnicy, musiał jednak uznać wyższość w tych sprawach pani de Pompadour, która bezwzględnie wyeliminowała Włoszkę z otoczenia monarchy i zresztą pchnęła, nie bardzo jeszcze doświadczoną w dworskich rozgrywkach Barberinę, w ramiona szkockiego arystokraty, lorda Stuarta Makenzie.

Stawa tancerki dotarła wkrótce na dwór berliński, gdzie po erze rządów króla — sierzanta Fryderyka Wilhelma I, nastąpiła era króla — filozofa Fryderyka II. Młody monarcha, starszy od Barberiny o 9 lat, wykazywał żywe zainteresowanie teatrem, rzecz jasna francuskim i włoskim. Wszystkie sprawy teatralne rozstrzygał sam. Dla nowo zbudowanego gmachu opery berlińskiej postanowił sprowadzić z Francji i Włoch najlepszych artystów. W kregu zainteresowań króla znalazła się „Barberina” Campanini, która 8 maja 1744 przybyła do stolicy Prus. 23-letnia signora Barberina pokładała wiele nadziei w królewskiej ofercie, licząc nie tylko na ugruntowanie swojej artystycznej sławy, lecz także na dochody, gdyż paryski debiut nie tylko nauczył ją gry miłosnej, ale przede wszystkim sztuki liczenia. Musiała na „szczęśliwie w Prusach panującym” Fryderyku II wywrzeć niezwykle wrażenie, skoro ten dbający o oszczędność władca bez zmruczenia oka podpisał Barberinie angaż na sumę pięciu tysięcy talarów rocznie. Ten sam Fryderyk kilka lat później zareplikował ostro sławnej śpiewaczce Elżbiecie

Schelling, kiedy artystka odważyła się prosić o podwyżkę: „... ona jest płacona, by śpiewać, a nie by pisać supliki o podwyżkę”. Nie bez znaczenia było w tej sprawie królewskie przekonanie, że tylko Włoszki i Francuzki umieją śpiewać i tańczyć. Do obiegu historycznego weszło słynne powiedzenie filozofa — króla, że „po niemiecku rozmawiam tylko z moim koniem”.

Wokół Barberiny kręciło się w Berlinie i Poczdamie wielu młodych ludzi, najbardziej zaś nadszkakiwał tancerce młody Fryderyk von Coccei, syn kanclerza królewskiego Samuela von Coccei. Wywalało to zazdrość królewską i faktem jest, że stary Coccei, wezwany do Sanssouci, wysłuchał musiał reprimendy z królewskiej i pokornie przyjął rozkaz gabinetowy swego pana, wysyłający Coccei — junióra do Głogowa w charakterze oficera fortecznego rozbudowyjącej się głogowskiej twierdzy. Skandal wiał w powietrzu. Dworakom nie miściło się w głowach, że król, uchodzący za antyfeministę, uległ kobiecie, bądź co bądź plebejskiego urodzenia, spełniając wszystkie jej kaprysy. Ale Barberina miała szczęście wpaść królowi w oko i wykorzystywała tę słabość monarcha bez skrępowań.

Wszystko zdawało się przebiegać po myśli królewskiego adoratora i nikt nie wątpił już w Poczdamie, że ta młoda, tak piękna i utalentowana tancerka zostanie jeżeli już nie kochanką, to osobą zdolną poważnie wpłynąć na wszelkie decyzje króla. W lipcu 1749 roku Barberina zniknęła z Poczdamu, aby na początku października pojawić się tam ponownie, ale już jako hrabina Barbara von Coccei. Na ten niespodziewany cios Fryderyk II wpadł w straszny gniew, nieważnił kontrakt, a niedoszłą metresa odesłał pod eskortą do Głogowa. Podążyła więc signora Campanini — Coccei do garnizonowej miejsciny nad Odrą, przeznaczoną na jej i męża wygnanie. I tak Barberina, zażywająca jeszcze nie tak dawno owoce niezłoczonych hołdów, prawie mająca króla pruskiego w swych stopach, ujrzała dookoła siebie prymitywnych kaprali, zagonionych żołnierzy, tkwiących wiecznie w długach oficerów, ordynarne markietanki. Ta, która jeszcze nie tak dawno prowadziła wielki dom w Paryżu, zamieszkiwała królewskie apartamenty Sanssouci, teraz musiała się zadowolić skromną kwatery w drewnianym cehauzie głogowskiej twierdzy. O tańczeniu na scenie nie było w ogóle mowy. Tak miały lata.

Z tej głębokiej i straszliwej nienadziei wyzwoliła ją dopiero śmierć króla 17 sierpnia 1786 roku. Barberina liczyła wówczas 65 lat i nie nie utraciła ze swojej wspaniałej urody. Małżeństwo z Fryderykiem von Coccei okazało się nieudane. Kiedy minął pierwszy szal miłosny, hrabia coraz bardziej zaniedbywał swoją małżonkę, zabawiając się z okolicznymi szlachciankami. Do rozwodu doszło w roku 1788. Za siedem tysięcy talarów Barberina kupiła w tym samym roku majątek Barszów koło Lubli na i Wysoką Cerkiew pod Głogowem. Ta ostatnia majątność stała się jej ulubioną siedzibą. W samotności, żyjąc wspomnieniami, zmarła w Wysokiej Cerkwi 7 lipca 1799 roku. Pochowana została w krypcie miejscowego kościoła.

W galerii Sanssouci znajduje się obraz pedzla Antoine Pesne'go, przedstawiający Barberinę w tańcu z tamburynem. Jest to jedyny zachowany konterfekt legendarnej tancerki, której nie dane było wrócić pod błękitne, ojczyste włoskie niebo.



Antoine Pesne'go obraz „Barberina”, obraz z 1745 roku — Galeria Sanssouci

Kelner postawił na stoliku koniak i kawę. Spojrzała na zegarek. Godzina spotkania zbliżała się. Była zrozpaczona i zagubiona. Drżała. Drżała tak, jak drża bohaterowie romantycznych powieści, kiedy wszystko zaczyna się rozpadać w ich wielkich miłościach, ale była między nią a tymi powieściowymi bohaterami jedna różnica — ona drżała naprawdę. W jej życiu także rozpadała się wielka miłość. Dla niej rozpadło się wszystko. W ostatniej próbie ocalenia resztek tej miłości jest tutaj i czeka na Jo.

Po ostatniej rozmowie z Joanną była właściwie przekonana, że nie uda się skłócić skorup ich skostniałej przyjaźni i tej ich innej miłości. Ale chciała jeszcze próbować, oddalając w ten sposób ostateczne rozstanie, rozdział się ich dróg. Przez kilkanaście godzin, jakie upłynęły od wczorajszej, krótkiej, chyba za krótkiej, żeby można było mieć po niej jakąś nadzieję, telefonicznej rozmowy, myślała tylko o niej. Przemysliwała sposób skłócenia jej, zmuszenia jeżeli inaczej nie będzie można, do powrotu. Ale jak tego dokonać?

Po raz nie wiadomo który, raczej w nerwowym geście, niż z chęci ustalenia dokładnej godziny, spojrzała na zegarek. Wiedziała, że Jo powinna już być. Kiedy podniosła kieliszek na wysokość oczu, patrząc pod światło na znajdujący się w nim, odbijający słoneczne refleksy, płyn, dostrzegła ją wchodzącą do kawiarni.

— Jestem Anno, ale nie spodziewała się po naszej rozmowie tego, czego się spodziewała. Niczego się nie spodziewała. Niczego dobrego.

Teraz, jakby odzyskała swobodę, nadal cięchym, lecz już pewniejszym głosem powiedziała: nie zmieniaj decyzji. Dzisiaj definitywnie rozparcelujemy naszą małą wyspę.

Powiedziała to i uśmiechnęła się. Dlaczego ta idiotka się śmieje — pomyślała Anna. Czując wzburzoną rozpacz. Jakby przełomem, mimochodem, ot tak przechodząc od widoku z kawiarnianej szyby, do wnikliwej obserwacji olejnego obrazu na przeciwległej ścianie, spoglądała na Jo. Myślała: jakże te kilka miesięcy niewiedzenia zmieniło ją. Nie zestarzała się, nie. Nie zbryzdała i nie wybladła. Zmieniła się jednak. Nie wiedziała, na czym ta zmiana polega, miała po prostu tę zmianę świadomości. Zmieniła ją kilka miesięcy przebywania z mężczyzną, którego ona nie znała i nie zamierzała poznać, ale któremu chce odebrać Jo, chce go wymazać z jej pamięci, skazać na niebyt w jej świadomości. Chce udowodnić Jo, że jego nie ma. Chciała może inaczej: chciała jej to udowodnić.

Za wzrokiem wbitym w blat stolika, Jo prowadziła wewnętrzny monolog. Obie udajemy. Siedząc naprzeciwko w meskiej, mocno rozpiętej koszuli. W rozpięciu widać twoje piersi. Kiedy pochylasz się lekko w stronę stolika i opierasz na nim łokcie, koszula na chwilę jeszcze bardziej rozchyli się na boki, ukazując duże, ciemne sutki. Kobiety nigdy nie rozpinają koszul w ten sposób. Żadna kobieta nie rozpiną tak koszul. Poza tobą. Nigdy nie nosiłaś stanika. Mówiłaś, że masz za ładne piersi, by go nosić. Kiedy opowiadałam ci, jak patrzę na twoje piersi mężczyźni, odpowiadałaś: tym gorzej dla mężczyzn, i dodawałaś: to jest wszystko, co mogę im z siebie dać. Dzisiaj masz koszulę rozpiętą bardziej, niż rozpinasz ją zwykle. Wiem, że prowokujesz mnie tym i widzę także z jaką przyjemnością staje przy tobie kelner, kiedy za mawiasz któryś z rzędu koniak, a kiedy już uciekasz z powrotem w swoje zamyslenie, on stoi przy tobie nadal, udając, że czeka na uzupełnienie nie przez ciebie zamówienia i patrzy na twoje piersi, patrzy na ciebie. Mówię do niego: to wszystko, dziękuję i rozpoczynam rozmowę, choć wiem, że właśnie o to tobie chodziło, bo chcesz mnie jeszcze przekonać, że racja jest po twojej stronie i chociaż ci trudno, chcesz żeby rozmowa się rozpoczęła, bo jesteś na straconej pozycji, a milczenie twojej sytuacji nie poprawi.

— O czym myślisz — zapytała Jo.

— Przypominam sobie ciebie. Przypominam sobie najdrobniejsze szczegóły, które w tobie kochołam. Było nam tak dobrze.

— Mam wrażenie, że tak dawno to było, kiedy wszystko układało się siłakowo, a my patrzyliśmy we wspólną przyszłość świetlistą, jak ciłowiek z propagandowego plakatu. Pozostali tylko wspomnienia i w pewien sposób się z tego ciesze.

— Tak, jestem wierna wspomnieniom. Potrafię być im wierna, nie tak jak ty, która je wszystkie odrzucała.

— Nie można się pozbyć wspomnień, odrzucić, nawet jeżeli się tego chce, dobrze o tym wiesz, a ja tego nie chcę. Nie chcę się pozbywać wspomnień. Ale nie chcę też już mieć wspólnych wspomnień więcej.

— Mogłabyś zapłacić koszulę — powiedziała Jo.

— Może jednak nie wszystko odrzuciłaś — stwierdziła Anna.

Zapłaciła koszulę i sięgnęła do paczki z papierosami. Teraz Jo mogła zobaczyć rozbiegane ruchy rąk Anno i jej niepokój.

— Kiedy podeszłam do ciebie, szarpnęłaś halkę rozrywając ramionkami; halka zsunęła się odłaniając twoje piersi, podniesione, nabrzmiałe, z czułyimi sutkami. Dotykaliśmy się, gładziliśmy nasze ciała. Czuliśmy się szczęśliwie z odkryć, które dokonywały nasze dłonie. Przytulaliśmy się do siebie. To było wszystko. Skończyło się na paru muśnięciach, dotknięciach, pół pocałunkach, które nie wiedzieliśmy jeszcze, co znaczą.

— Byliśmy jakby małżeństwem — powiedziała Anna.

— Tak. Małżeństwem, które nie miało jakiejś szansy na przetrwanie — odpowiedziała Jo.

— Ale wiedzieliśmy, że nie zniszczyły w sobie tej miłości. Nie zniszczyła jej w sobie Jo, decydując się na odejście, ani tym bardziej nie zniszczyła jej w sobie Anna, ulegając decyzji Jo. Próbowaliśmy teraz, siedząc naprzeciwko siebie, coś z tą miłością zrobić.

— Jak wam jest w łóżku?

— Inaczej.

— To dobrze. Inaczej nie znaczy lepiej. Jednak nie lepiej.

— Inaczej nie znaczy też gorzej.

— Ale jednak inaczej.

— To chyba dobrze.

— Tak, to dobrze.

... Jo włączyła magnetofon. Basowym zaśpiewem rozpoczynały się ciekawe chorały. Iz bramy duchownie pieśniopiewa. Uwielbiały my chorały. Szczególnie Bortnianskiego, który dostrzegał nas do ekstazy. Podczas trwania ko lejnych utworów wzbierała nasza miłość. W trakcie Wspaniałe ludie bogobojnie to Sionie, pod dotykem koniuszka języka Jo, cicho mrucza-

łam przebiegać, po którym przechodził dreszcz podniecenia. Przy Słowa w wysznych Bogu mój oddech stawał się krótszy, głośniejszy. W trakcie Koncerta numer 24 delikatnie zabiegł ręką Jo zmuszając mnie do skowytu, który cichł, gdy moim ciałem wstrząsały drgawki orgazmu. Rozpoczął się Dzień Pieni Pokajannowoo Ka nona.

Podczas trwania kolejnych utworów wzbierała nasza miłość. W trakcie Sing, ye, in Zion, a hymn acceptable to God, pod dotykem koniuszka mojego języka Anna cicho mruczała, przebiegała, po którym przechodził dreszcz podniecenia. Przy Glory to God in the Highest jej oddech stawał się krótszy, głośniejszy. W trakcie The Church Concerto number 24 zabiegł mo ich ręk zmuszając Annę do skowytu, który cichł, gdy jej ciałem wstrząsały drgawki orgazmu. Rozpoczął się Two Songs of the Penitential Canon.

Odpoczywały, obserwując jak ich łaniące od potu ciała nabierały matowoci, oddech uspokajał się. Kończyły się chorały, one rozmawiały na najróżniejsze tematy, a kiedy znów widziały w swoich oczach to coś tak nieokreślonego, co tak bezzębnie potrafiły odczytać, Jo przewijała taś

MY DWIE Z NASZEJ MALUTKIEJ WYSEPKI

Marek Grabowicz



mę i wraz z basowym zaśpiewem wszystko zaczynało się od początku.

— Nie myśl, że utraciłam pamięć o nas, kiedy poznałam mężczyznę, że przestałam pamiętać o wszystkim, co nas łączyło. Nie muszę zapominać dla mężczyzny tego, co było. On tego ode mnie nie wymaga.

— Więc wie o mnie?

— Tak.

— I wybaczył ci wspaniałomyślnie nasz związek?

— Tak.

Przypominałam sobie początek naszej miłości. Dla mnie owiany jest on różową romantyczną mgiełką. Mgiełka ma właściwość ci konserwującą i obraz ten tkwi we mnie w niezmiennych kształtach i nieodparto wrusze nie ogarnia mnie, kiedy przywołuję go na pamięć.

Było lato. Skryliśmy się w swoim pokoju przed ostrymi promieniami słońca. Leżałam obok siebie w płowym kostiumie, a ja nie miałam na sobie nic, byłam naga, przecież nie musiałam się ciebie wstydić. Czytałaś wiersze Safony, a ja powieści, nie pamiętam już czyja: — Jane Austen, albo Margaret Mitchell. Wolano na obiad. Wstałymiśmy i już nawet nie zaczęłam się ubierać: rzuciłymi się na siebie, ośniewane sobą i od kryta dopiero miłością. Zdziwione dokonany odkryciem, ale szczęśliwie z tego powodu, zbliżyliśmy na obiad. Najpierw jednak musiałam ukryć swój podarty pławowy kostium.

— Wówczas pozwolił mi się na miłość, Jo. Tym bardziej boli mnie to, co dzieje się z nami dzisiaj.

— Zrozumiałam wówczas, że jeden ze sposobów doznawania rozkoszy nie może być czynnym złym. Nawet taki, który większość nazywa dewiacją.

— Ja także. Chociaż wiele później zrozumiałam i to, że niektóre z tych sposobów niosą ze sobą zbyt duży ładunek gorzkości i smutku. Niosą ich tyle, ile mnie przyniosł nasz związek.

Anna dotknęła dłoni Jo, która przedko, jakby przestraszona, cofnęła rękę. Nie chciała sobie ponownie pozwolić na chwilę słabości. Wspominały dalej.

Leżała naga. Zagryzała zęby na wardze. Zawsze zazdrościłam ci twoich równych zębów. Leżałaś tak, z śmiechem skierowanym do wewnątrz, w siebie. Pojechałam od razu: zdecydowałam się. Jakże ci tego zazdrościłam. Jo, Jo, starsza od ciebie, nie zdecydowałam się nigdy tak

drastycznie ingerować w siebie. Nie drgnęłaś, kiedy wchodziłam. Byłaś wówczas całą biologią, uspokojeniem po spełnieniu i wyczekiwaniu. Byłaś sobą i czekałaś na mnie. Leżąc bez ruchu, jak gdybyś nie zauważała w ogóle mojego przyścia, pozwoliłaś mi się rozebrać, a później położyłaś delikatnie obok siebie. Przestałaś zagryzać wargę. Całując cię, czułam twoją krew.

Wiesz, dlaczego wówczas to zrobiłam? Z zazdrości. Anno, raz chciałam być lepsza od ciebie. Ten raz. Ubzduriałam sobie, że to musi być den raz lepsza. Chciałam jako pierwsza zdobyć się na coś, na co ty nie byłaś jeszcze zdecydowana, do czego nie byłaś jeszcze przygotowana. Chciałam wzbogacić nas obie i chciałam cię jednocześnie zdominować. Ale i w tym zawierała się moja do ciebie miłość.

Anna znowu dotknęła dłoni siostry. Tym razem Jo nie cofnęła ręki. Muskały swoje dłonie opuszkami palców, jakby starały się odnaleźć w nich dawną zuchwałość, a może w ten sposób starały się pogodzić z rozpadem związku.

— Byliśmy już non virgo, ale jakby jeszcze non consumatum. Rozumiesz mnie?

— Ty uważasz że tak było. Mnie zawsze nasz związek wystarczał.

— W tamtych czasach mnie także.

— Nieprawda. Już wówczas, podświadomie pragnęłaś związać się z mężczyzną.

— Ty natomiast, bardziej świadomie ode mnie, dążyłaś do zniszczenia wszystkiego, co w jakikolwiek sposób mogło mnie zbliżyć do mężczyzny.

— Nie udało mi się.

— Za to mnie się udało.

— Jo, przez tyle lat byśmy razem, przez tyle lat żyłaś ze mną i przez tyle lat mnie kochałaś, więc jak by na to nie patrzeć jesteś homo-seksualistką.

— Wymień choć jedno takie słowo, które będzie w stanie mnie przekonać.

— Czy na pewno tego chcesz?

— Mów, czekam na nie.

— Coitus. No i co?

— Przestań, tylko przestań Jo.

— Jednak mam przestać?

— Tak.

— To dobrze Anno, bo jako następne padło by słowo: dziecko.

— Millez!

— Był okres Anno, kiedy to ty chciałaś odrzucić naszą miłość. Pamiętam, któregoś dnia, po przyjeździe do domu, wymiotowałaś. Nie zdradziłaś, jaka była tego przyczyna. Domyślałam się jedynie, czy raczej przeczuwałam, co zrobiłaś. Wyglądałaś jak zatruta. Co wówczas się wydarzyło, powiedziałam mi dopiero dużo później. Miałam o to do ciebie żal.

— Czy podobny żal, jaki ja mam do ciebie dzisiaj?

— Przestań.

— Przespaliśmy się wówczas z mężczyzną nie dlatego, żeby uciec przed naszym związkiem, tylko po to, żeby poznać ten drugi rodzaj miłości, ten który większość nazywa normalnym. Poznałam obie miłości i wybrałam lepszą. Znowu pisaliśmy na sobie szminki! Precz z mężczyzną mi, albo jakby upewniając się o swoich uczuciach, pisaliśmy: Kocham. Rozpoczął się wówczas uspokojony okres naszej miłości. Okres, który był samą zmysłowością. My nagle, w głębokich miękkich fotelach ustawionych naprzeciwko. Wytarcało nam patrzeć na siebie pocałunki o smaku wina i błędzenie naszych języków przy tych pocałunkach.

— Przestałaś kochać i przestałaś wierzyć w naszą miłość.

— Nie przestając kochać, przestałam wierzyć w jej sens. Przestałam wierzyć, że da nam ona jeszcze coś pozytywnego.

— Sama miłość nie jest czymś pozytywnym?

— Jo nerwowo spiatała i rozpiatała dlonie. Długo decydowała się, wreszcie trochę sztucznie, niepewnie, ale z odzieniem dumy powiedziała: jestem w ciąży.

— Za kilka miesięcy urodzę dziecko. Będę matką, Anno.

— No, to wspaniale. To takie piękne dać z siebie nowe życie.

— Nie baw się w złośliwości.

— A potem ze złą w oku, przez całe życie wspominać to wydarzenie.

— Przestań już.

— Przypuszczam, że kobieta spodziewając się dziecka, czuje się prawie jak bóg.

— Powiedziałam: przestań.

— Ciekawe, bo ja bym miała po prostu wrażenie, że zostałam wydymana.

— Jesteś głupia i cyniczna.

— Jestem po prostu zrozpaczona.

— No, proszę, co za melodramat.

— Z kolei ty nie baw się w złośliwości.

— Chce założyć normalną rodzinę i mieć dziecko. W końcu męski czcionek, to nie jest najstraszniejsza rzecz, jaka mnie mogła spotkać w życiu...

— Jo, jeżeli uważasz, że dziecko byłoby jakąś przeszkodą, kłopotem, czym, co by zmieniło nasz stosunek względem siebie, nie masz racji. Nigdy nie związałam się z mężczyzną, nie zniosę ich ograniczeń, nie dorosli oni do wrażliwości kobiet. Nigdy też nie będę miała dziecka, ale jeżeli ty się na nie zdecydowałaś, mogę się tylko cieszyć z tego. Wróć od razu. Albo, jeżeli tak wolisz, wróć, kiedy się ono urodzi, wychowamy je razem. Mężczyzna nie będzie ci potrzebny, zrezygnuj z niego, pozbadz się go, jak modliszki pozbywają się swoich samców i wróć.

— Chcę być sobą, Anno, nie modliszką.

— Tylko będąc ze mną będziesz sobą. Aby być sobą ze mną, musisz być teraz modliszką.

— Teraz być z sobą, to już nie znaczy być sobą. To znaczy być z nim. Być z nim i z dzieckiem. Z nim i z dzieckiem właśnie bez ciebie.

— Dlaczego, Jo?

— Przypuszczam, że nie rozumiesz tego nigdy, bo zrozumieć to można jedynie pojawszy, że mężczyzna też może być delikatny i rozumiejący.

— W śnie. Tego nie zrozumiełam nigdy.

Były same w kawiarnianej salce. Anna zbierała przyściemione okulary, które i tak nie ukrywały jej nastroju. Jej zaczerwienione oczy wyczekujące patrzyły na Jo, która poprzez stołik wyciągnęła do niej rękę.

— Nie mogę cię nawet nazwać dziewczynką, bo zabrakło mi do śmiechu — powiedziała Anna.

Usiadła przy Jo. Przytuliła się, przywarła do siebie, tak objęta pocałowali się i był to ich najmiększy i najzłotniejszy pocałunek. Jakiś kiedykolwiek wymienili między sobą. Cudny smak szminki i swoich łez.

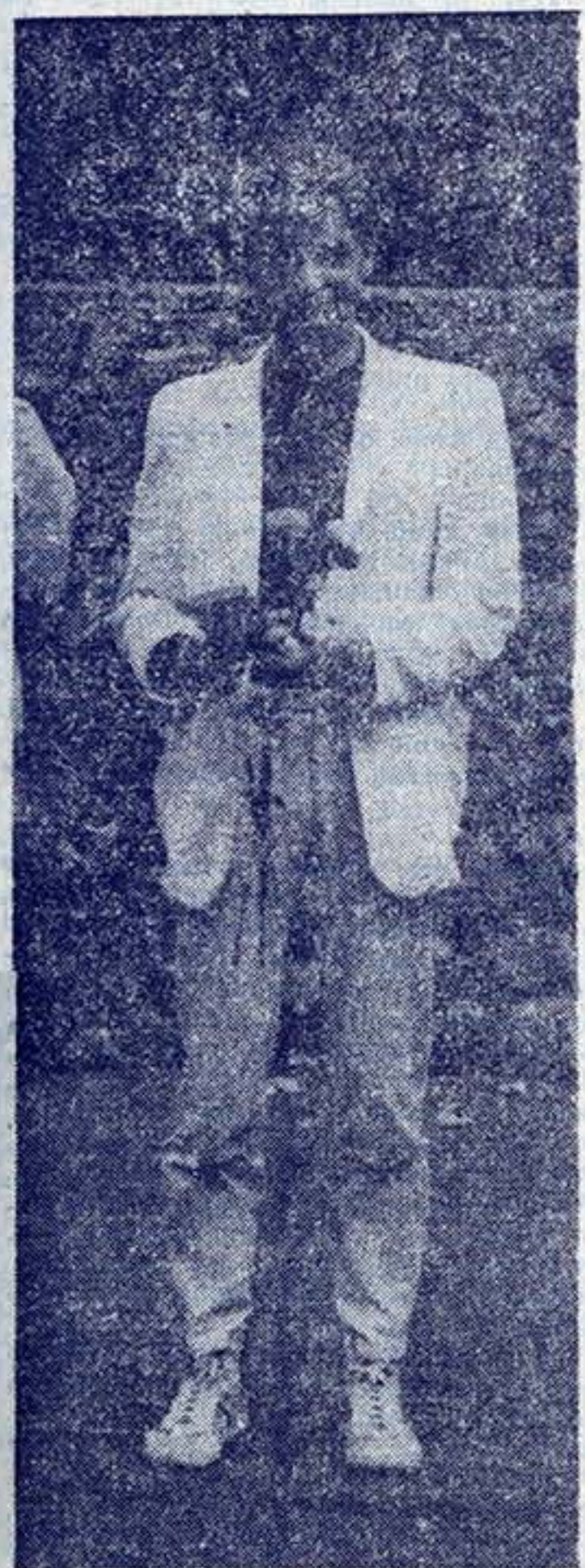
(Fragmenty opowiadania Marka Grabowicza „Dwie z naszej malutkiej wysepki”, wyróżnionego w Ogólnopolskim Konkursie im. Jana Papugi w Szczecinie)



CIEMNE CHMURY NAD KINEM

Alfred Siatecki

Co roku odbywa się Lubuskie Lato Filmowe w Łagowie i co roku nad tą imprezą wiszą ciemne chmury. Pół wieku filmowy nie miał konkurencji w postaci filmowego Gdansk, tę uroczą wies nazywano „polskim Cannes”. Na początku lat siedemdziesiątych LLF próbowało przekształcić w festiwal polskich filmów fabularnych, ale zaraz po tym wymyślono taki festiwal w Gdańsku.



Jan Piechociński

Bywalczy „Łagowa” twierdzą, że na początku sprawnie organizowane kwatery, punktualne rozpoczęcie seminariów i niepowtarzalne lato w specyficznym mikroklimacie łagowskiej kotłowni — przyciągały filmowców, znawców tej sztuki, krytyków i publiczność, która zawsze szczerze wypełniała amfiteatr. Minęły te lata, dziś do Łagowa przyjeżdżają niechętni filmowcy, trochę krytyków i przypadkowa publiczność. Przeglądy filmów festiwalowych nie odbywają się w większych kinach województwa. Goście LLF nie spotykają się z publicznością dużych ośrodków miejskich. Samo LLF przybrało charakter imprezy, na której ogląda się filmy przedpremierowe, pokazy retrospektywne i dyskutuje. Oczywiście „Łagów” ma swoje nagrody w postaci „Złotego Grona” (laureatami byli m.in. Kazimierz Kutz, Krzysztof Zanussi, Andrzej Wajda, Sylwester Chęciński, Stanisław Różewicz — czyli cała czołówka polskiego filmu), nagrody Federacji DKF, ZSMP. Do końca lat siedemdziesiątych w Łagowie przyznawano „Syrenkę Warszawską” — nagrody krytyków filmowych.

W tym roku do Łagowa przybyła grupa aktorów, reżyserów, operatorów, krytyków i teoretyków. Każdego dnia w amfiteatrze odbywały się wieczorne projekcje przedpremierowe, a następnego dnia dyskusje. W kinie „Świt” organizowano pokazy retrospektywne. Wydało się, że najistotniejszą częścią łagowskiej imprezy są seminaria Stowarzyszenia Filmowców Polskich. Tegoroczne, pod hasłem „Forma i warsztat w polskich filmach fabularnych” było szczególnie drapieżne. Prelegenci i dyskutanci zastanawiali się nad kondycją polskiego kina współczesnego. Padło wiele gorzkich słów Jerzy Plazewski w referencji „Środki i konwencje wypowiedzi artystycznej w kinie światowym” omówił to co dzieje się w kinie w sensie poszukiwań formalnych. Dr Marek Hendrykowski doszukiwał się ambicji artystycznych polskich filmów dzisiaj. Jego zdaniem, obecnie produkuje się więcej filmów niż dobrych, głosu nie zabierają twórcy wybitni, zawodzi reklama filmowa. Również inni referenci zarzucili twórcom współczesnego kina polskiego niezaradność, popisywanie się techniczną sprawnością. Frontalny atak na film polski trwał w Łagowie przez całe „Lato”. I nie dziwnego, skoro państwo do

każdego biletu wstępu do kina na wspólczesne dzieło reżysera polskiego dopłaca aż 7 tys. zł. A w kinach widzów coraz mniej, pogłębia się deficyt, powstają filmy z góry skazane na niepowodzenie. Poszukiwanie rozwiązań doraźnych (nagłość, kino autorskie) kończy się niczym. Lecz i komercja nie przynosi efektów. W Łagowie padały głosy, że całe kino światowe poszukuje nowych środków wyrazu. Film zaczyna być wypierany przez video, kina przez telewizję. Jest w tym wiele prawdy, ale nie można powiedzieć, że wszyscy reżyserzy robią filmy złe. W ostatnich latach mieliśmy kilka bardzo udanych dzieł: „Vabank” i „Seksmissja” Machulskiego, filmy Gradowskiego. Tylko to za mało, jak na roczną produkcję około 40 filmów.

W Łagowie obnażono kino polskie, ukazano jego bolączki i niezaradność, szkoda że tak wąskiemu gronu. Dyskusji łagowskiej powinni przysłuchiwać się organizatorzy produkcji, reżyserzy, kierownictwo kinematografii, krytycy. Należy się spodziewać, że dokończenie tej dyskusji nastąpi w filmowym Gdańsku jesienią.

Obiadujące w Łagowie jury pod przewodnictwem Andrzeja Jurgi główną nagrodę „Złotego Grona” przyznało Witoldowi Leszczyńskiemu za film „Siekiera zjada”, zrealizowany na podstawie powieści Edwarda Stachury. Przypominamy, że „Siekierozjada” albo zima leśnych ludzi powstała po pobycie pisarza w Kofli (obecnie woj. łęczyński), gdzie wówczas mieszkał przyjaciel Stachury, pisarz Jan Czapik-Leżachowski. „Złote Grono” otrzymali ponadto — operator Grzegorz Kedzierski (za zdjęcia do filmu „Osobisty pamiętnik grzesznika”) i Andrzej Jaroszewicz (za zdjęcia do filmu „Gra w ślepe”). Czytelnicy „Ekranu”, „Gazety Lubuskiej”, „Nadodrza” i „Sztandaru Młodych” uznali, że na tytuły gwiazd filmowego sezonu (1985) zasłużyli — Grażyna Szapolowska i Jan Piechociński. Młodzież zgromadzona na obozie filmowym ZSMP nagrodę Zarządu Wojewódzkiego ZSMP w Zielonej Górze przyznała Andrzejowi Trzaskowskiemu za film pt. „Jestem przeciwny”. Nauczyciele zgrupowani na obozie metodycznym w Sulęcinie swoją nagrodę przyznali „Siekierozjadzie”, wskazując na wartości artystyczno-wychowawcze filmu. Film „Och, Karol” obejrzało dotąd 1.823 mln widzów. Roman Załuski, reżyser tej komedii, otrzymał nagrodę Przedsiębiorstwa Dystrybucji Filmów.



Witold Leszczyński

Fot. T. GAWALKIEWICZ



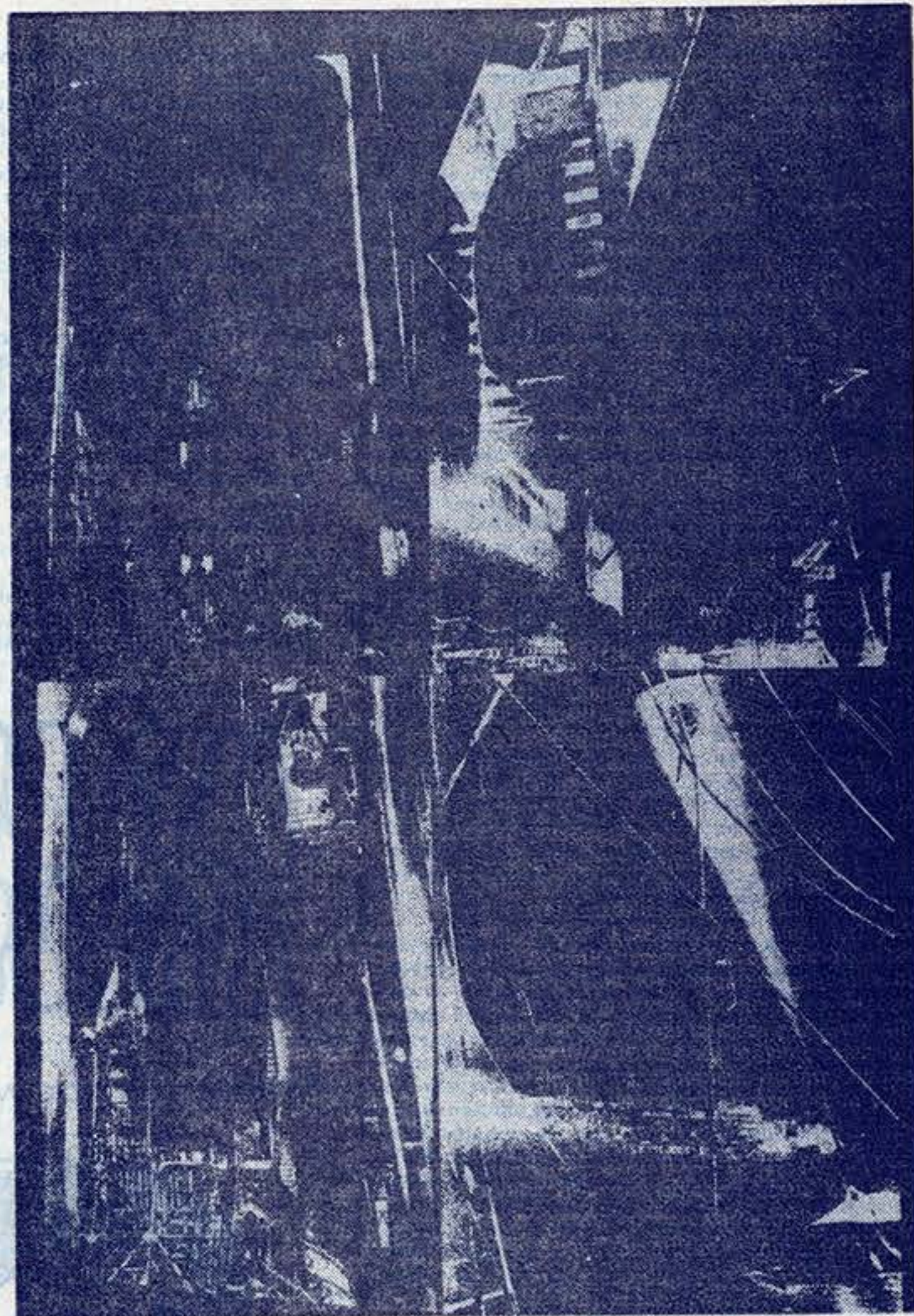
Po Konfrontacjach Gorzowskich

Gorzów stał się miastem aktywnym w kulturze i sztuce. Organizuje kilka poważnych imprez artystycznych, wśród których tradycją stały się Konfrontacje Fotograficzne. W tym roku po raz szesnasty pod egidą Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego i gorzowskiej Delegatury ZPAF odbyło się spotkanie profesjonalistów i amatorów zrzeszonych w towarzystwach regionalnych i grupach twórczych. Cel tej imprezy jest bardzo czytelny — utrwalenie dorobku polskiej fotografii artystycznej i możliwie najszersze upowszechnienie tej dyscypliny sztuki. Przy takich założeniach niezwykle trafne wydaje się połączenie prezentacji autorskich z ogólnopolską konkursową wystawą amatorskiej fotografii artystycznej. Profesjonaliści, manifestujący nowe, współczesne tendencje w sztuce fotograficznej, dają amatorom możliwość porównania i niejako wzoru wykorzystania różnych metod twórczych i środków formalnych.

Znaczenie tej imprezy podnosi towarzysząca wystawom część teoretyczna. Sympozja poświęcone najpowszejnemu zagadnieniu fotografii, przygotowane były przez teoretyków, krytyków i twórców. Faktem bezspornym jest, że dają one asumpt do szeroko pojętej dyskusji o stosunkowo młodej, ale też stwarzającej olbrzymie możliwości dyscypliny artystycznej, jaką jest fotografia. Trudno wyrokować, na jak długo fotografia realistyczna, czytelna, ustąpiła przedowiśniętym wszelkiego rodzaju daniom artystycznym opartym na doświadczeniu i konceptualizmie. Problem ten jest nam doskonale znany i z innych dziedzin działalności artystycznej.

Ocena jakości technicznej obrazów fotograficznych jest sprawą bardzo trudną i niezwykle istotną, szczególnie w przypadku, gdy fotografujemy się przedmiotem oceny artystycznej i estetycznej. Zanim jednak zostaną one zdefiniowane od tej strony, należy uznać, że jakość techniczna obrazu jest dobra. Nie stety, jednak bardzo często tak się składa w praktyce, że jakość techniczna fotografii pozostawia bardzo wiele do życzenia, a autor uzasadnia niedoskonałości techniczne swoimi zamierzeniami i celowym działaniem. Oczywiście bywa i tak (dowodem szeregu prac pomieszczonych w salach ekspozycyjnych Gorzowa), że w celu osiągnięcia określonego efektu zmienia się niektóre standardowe rozwiązania techniczne, na przykład zwiększa się ziarnistość lub zmniejsza ostrość obrazu, co czasami stanowi jego olbrzymią zaletę. Zawsze jednak można dyskutować, czy określić na deformację artystyczną przynosiła oczekiwany efekt. Na szczęście występujące na fotografiach deformacje i błędy techniczne są na tyle czytelne, że dla odbiorcy jasnym jest, które z nich nie są zamierzone, a które stanowią wynik programowej działalności.

Prezentowane podczas Konfrontacji ekspozycje dowodzą niezbicie, że natura fotografii jest powszechna i na wprost demokratyczna „kultura wizualna”. W Polsce niestety (tego także do wódz gorszowskie Konfrontacje) kulty



PRACA CZESŁAWA ŁUNIEWICZA

wuje się ciągle arystokratyczny model Wielkiej Sztuki i jej elit, a jedynym możliwym do pomyślenia postępowaniem w salach Dużych Muzeów. Zastany układ: profesjonalista — amator na dłużej jeszcze pozostanie bez zmian.

Tegoroczna ekspozycja prac na Konfrontacjach Fotograficznych była bardzo bogata. W małej galerii BWA prezentował swoje fotografie znakomity artysta Edward Hartwig, zaś w dużej sali BWA oraz Muzeum „Stilonu” oglądaliśmy kilkanaście indywidualnych wystaw artystów członków ZPAF, w tym także Czesława Łuniewicza i Władysława Nowogórskiego. Prezentacja objęła również fotografie artystów z towarzystw w NRD i Czechosłowacji. Pokazali nam swoje osiągnięcia młodzi fotograficy, członkowie Fotoklubu z Libercza, oraz członkowie klubów fotograficznych z Eberswalde—Finow. Odpowiedzieli w swoich fotografach na pytanie: Jak siebie widzimy.

Wystawa konkursowa objęła prace 31 autorów z całego kraju, liczyła 322 zdjęcia. Mieliśmy zatem możliwość oglądania najlepszych spośród nadesłanych zestawów. Pierwszą nagrodę i złoty medal jury przyznało Andrzejowi Biegowskiemu z Trzcianki za zestaw prac „Po drodze w krainie wyobraźni”. Przy ogólnie wyrównanym poziomie, prace tego autora istotnie zasługują na szczególną uwagę. Stanowią prawdziwie piękne, skomponowane z dużym wyczuciem obrazy fotograficzne, zmuszające do penetracji w nas samych. Drugą nagrodę i srebrny medal otrzymał Krzysztof Kuczyński z Jeleniej Góry za „10 swy

kich fotografii”, a nagrodę trzecią i brązowy medal — Wojciech Krajewski z Gdyni za zestaw „...”. Jury przyznało także wyróżnienia, otrzymał je: Bogdan Biegowski z Trzcianki, Eugeniusz Przybyłko z Sosnowca i Tadeusz Halatka z Łodzi. Wydaje mi się, iż godna odnotowania jest także wystawa Günthera Rinnhofera „Spojrzenie na naturę”.

Konfrontacje uzmysłowiły nam, że fotografia tworzy obraz świata na użytek współczesnego pokolenia, pozostawia przekaz kulturowy o niezwyklej doświadczeni historycznej. Czytać z niej będą nas następcy. Spularyzowanie o raz naszego życia codziennego, odcinające nas natury zmniejsza rozmiary globu. Coraz bardziej czujemy się mieszkańcami jednego, wspólnego świata. Niemal regułą jest wzrost zainteresowania fotografią faktu w momentach przełomowych, także tych decydujących o przeobrażeniach społecznych. Mam nadzieję, że możemy spodziewać się, iż z upływem czasu zasadniczy nurt fotografii będzie ukierunkowany na służbę społeczną, przy równoległym wykorzystaniu form kreacji autorskiej. Sądzę, że właśnie tak bardzo popularna w Polsce fotografia amatorska nabierze nowych wymiarów i przyniesie piękny i prawdziwy epicki obraz ludzi i świata. Myślę, że Konfrontacje Gorzowskie sprawiają, iż cel ten jest bliższy każdej dnia.

IWONA PERYT



SPÓD ZNAKU BRATERSTWA BRONI

Każda publikacja książkowa o charakterze dokumentalnym, stanowiąca za pis doświadczeń i faktografii ostatniej wojny oraz polsko-radzieckiego braterstwa broni posiada wartość niewymierną. Dotyczy przecież nie tylko spełnienia społecznych powinności utrwalenia w pamięci współczesnych i przyszłych generacji trwałości związków, zrodzonych we wspólnej walce z faszyzmem, lecz również — sfery oddziaływania wychowawczego i poznawczego na młode pokolenie, dla którego tamte lata „epoki pieców” są li tylko rozdziałem, wyjętym z podręcznika historii.

W Zielonogórskim pamięta się o tych powinnościach, wydając książki o takim właśnie charakterze. Właśnie ostatnio, staraniem Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD i Zarządu Wojewódzkiego TPRP, przy pomocy finansowej Lubuskiego Komitetu Upowszechniania Prasy w Zielonej Górze, ukazała się pod

redakcją Wiesława Hładkiewicza, przy współpracy Władysława Blecha, Edwarda Hładkiewicza, Juliana Kordonia i Ewy Lurc, publikacja zatytułowana: „Polacy — byli żołnierze Armii Radzieckiej na środkowym Nadodrzu”.

W słowie wstępnym Wiesław Hładkiewicz przypomina w lapidarnym skrócie lata wojny, wyjaśniając zarazem charakter tej publikacji: „W wyniku zimowej ofensywy Armii Radzieckiej oraz Ludowego Wojska Polskiego w styczniu i lutym 1945 r. wyzwolony został obszar dzisiejszego województwa zielonogórskiego. Toczono walki nad Odrą i Nysą, miały wyjątkowo krwawy charakter. Przykładowo wymienić można tu walki w rejonie Zagania i Zar, walki o zdobycie Gubina, Krosna, przełamanie Międzyrzeckiego Rejonu Umocnionego czy wrznięcie walkę o sforsowanie Odry i Nysy.

Na tych właśnie odcinkach poległo najwięcej radzieckich żołnierzy i oficerów walczących w związkach taktycznych wchodzących w skład 1 Frontu Białoruskiego pod dowództwem marszałka Żukowa oraz 1 Frontu Ukraińskiego dowodzonego przez marszałka Koniewa. Byli wśród nich także Polacy — żołnierze Armii Radzieckiej. Walczyli w radzieckich mundurach o wyzwolenie swojej Ojczyzny, Polski Ludowej.

Ich zwłoki spoczywają dziś na cmentarzach żołnierskich w Cybince, Kożuchowie, Zaganiu, Zarach, Białkowie i Wolsztynie. Pełne ustalenie liczby poległych Polaków, walczących w szeregach Armii Radzieckiej, jest już prawie niemożliwe. Pozostali po nich na cmen-

tarnych nagrobkach imię i nazwisko oraz data urodzenia i śmierci. Lecz żyją w pamięci potomnych i najbliższych.

Niewielu przeżyło do dzisiaj. Ochodziłi prawem biologicznym. Stąd też tym żyjącym do dzisiaj poświęcona jest niniejsza publikacja. Powstała ona w roku jubileuszu 40-lecia Polski Ludowej oraz powrotu Ziemi Zachodnich i Północnych do Macierzy (w tym ziem środkowego Nadodrza). I stąd też jej szczególna wymowa społeczna oraz walor ideowy i polityczny. Mówi bowiem też publikacja i zawarte w niej biogramy o ludziach, których nie można zapomnieć.

Książka zawiera 383 biogramy Polaków — byłych żołnierzy Armii Radzieckiej, zarówno poległych w walkach na środkowym Nadodrzu, jak i tutaj do dziś mieszkających. Dużą pomoc w komponowaniu nazwisk autorzy otrzymali ze Środowiska Byłych Żołnierzy Armii Radzieckiej, działającego w ramach Zielonogórskiego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację.

Ponadto w publikacji pomieszczono artykuły Edwarda Hładkiewicza pt. „Walczący w szeregach Armii Radzieckiej”, który szerzej prezentuje niektórych późniejszych działaczy społeczno-politycznych, i Wiesława Hładkiewicza, omawiającego osadnictwo i aktywność powojenną byłych żołnierzy.

Starannie wydana książka zamyka bibliografię oraz indeks nazwisk, a tak że — zestaw historycznych już dziś fotografii.

ZENON ŁUKASZEWICZ



Chwytnie byka za rogi

Szanowna redakcjo!

Wyrażam kategorię protest w związku z artykułem Piotra Piotrowskiego „Chwytnie byka za rogi” zamieszczonym w „Nadodrze” nr 7 z br. Artykuł ten w tendencyjny sposób opierający ironię i fałsz stanowi jawną obrazę prawnych działań ludzi oraz tenorego organu administracji państwowej. Redaktor Piotrowski pisze, że kierownik Wydziału Spraw Lokalowych w Zielonej Górze „kierując się sobą tylko znanymi pobudkami” wydał zaświadczenie, co jest ewidentnym mianiem się z prawdą, gdyż wytyczne Ministra Administracji i Gospodarki Przestrzennej z lipca 1985 roku do takiego działania go uprawniają. Pan redaktor nazywa „sprytnym i zabezpieczonym” człowieka, o którym wiem, jak oświadcza, nabył od dyrektora Sierpińskiego. Panie Redaktorze na czym polega spryt, czy tylko na tym, że mam za sobą 22 lata nieprzerwanej pracy, za którą kilka miesięcy temu otrzymałem „Odnagę za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”, czy spryt polega na tym, iż staram się w uczciwy sposób zapewnić byt i rozwoj należytą opieką czworo moich dzieci, czy spryt polega na prawnym postępowaniu popartym piśmienną zgodą terenowych organów administracji państwowej.

W artykule swym redaktor Piotrowski pisze, iż „jaki dyrektor nie chciałby otrzymać w podarunku kilka mieszkań”. Szanowny Panie Redaktorze mieszkanie dla rodziny jest nadzwyczajną wartością i nie może stać się podarunkiem dla dyrektora. Ja swoje mieszkanie otrzymałem od swojego zakładu pracy, którego jestem pracownikiem od lat 22, a dyrektora Stacji Hodowli i Unasienniania Zwierząt oczekującego podarunku.

ku w ogóle nie znam, a właściwie nie znam do tego czasu. Obecnie okazało się, iż dyrektor Sierpiński w „trosce” o dobro swojej załogi nie mieszka w swym służbowym — funkcyjnym 3-pokojowym mieszkaniu, które jest praktycznie zamieszkiwane przez 1 osobę — byłą żonę dyrektora, gdy tymczasem tuż obok za ścianą wielodzietna rodzina tłoczy się w małym mieszkaniu. Przejawem „troski” o załogę i siebie są opłaty za garaże służbowe, za które w SHIUZ płaci się miesięcznie 58 złotych — bo się je po prostu nazywa pomieszczeniami gospodarczymi. Permanentne zalewanie piwnic fekalia mi w budynku mieszkającym przy ul. Olbrychta nr 8 wynikające z niewłaściwej obsługi szamba jest od lat stałą udręką mieszkańców. Karygodne niedbalstwo w konsekwencji ogrodzenia nieruchomości Stacji doprowadziło do skorodowania ślask. Zwierzenia władza znajduje się daleko — w Warszawie i nie ma kto rozliczyć marnotrawstwa polegającego na zburzeniu odcinka około 80 m betonowego plotu w miejscu którego SHIUZ postawił metalowy, którego się nie konserwuje i już wkrótce trzeba będzie budować nowy.

Redaktor Piotrowski wyraża nadzieję, iż NSA w Poznaniu rozstrzygnie sprawę na korzyść Stacji i ma swoją własną wizję sensacyjnych wydarzeń. Informuję, że NSA odrzucił skargę SHIUZ, gdyż była ona bezpodstawa.

Skarga SHIUZ i cały artykuł jest two rem maniackich niezdrowych ambicji obywatela Sierpińskiego, który urażony osobistą ambicją pod pozorem obro ny interesów zakładu brutalnie ingeruje w prywatne życie ludzi, których nie zna i którzy nigdy z nim nie współpracowali. Pod wpływem kłamstw, jakimi redaktor Piotrowski uraczył dyrektora Sierpińskiego, pisze on, iż choroba mo jej teściowej jest kolejnym wybiegiem”. Zona matki posiada I grupę in walidztwa i wymaga opieki osoby drugiej.

Losy życiowe nieraz zmuszają ludzi do rozmaitych wyjazdów. Zależnie od rodzaju i czasu wyjazdu każdy człowiek zabezpiecza na czas nieobecności swoje mieszkanie — swój dobytek przekazując go swym przyjaciołom pod ochronę i opiekę.

Przyjęcie przyjaciela na mieszkanie na czas mojej nieobecności stanowi na turalną formę zabezpieczenia mego mieszkania, mego dorobku i dzieje się to zgod

nie z prawem. Forma ustawienia mebli w moim mieszkaniu i fakt przeorywania w nim mojej wielodzietnej rodziny, bądź moich gości, nie ma żadnego wpływu na pracę rogowych byków. Nie widzę też żadnego związku mojej rodziny z państwem „W”, których umiarkowany optymizm redaktor Piotrowski w swym artykule tak akcentuje, wyrażając troskę również o ich małe dziecko i bulwersuje się faktem bezpłatnego zamieszkania przez w/w w pokoju gościnnym. Jeszcze nie osiągnęliśmy w kraju stanu, aby dwudziestoparoletni racjonowiec zaopatrzenia po pracę pracownikowi nawet kilkunastu miesięcy otrzymał 3-pokojowe mieszkanie.

Pozostając w wierze, iż da się redaktor Piotrowski zwięźle pisać o mawia nych artotwórcach, czekam na naprawienie wy rzędzonej mi i innym krzywdy.

Eugeniusz Macur
Zielona Góra ul. Olbrychta 8/7

*

Reakcja Ob. E. Macura na artykuł jest typowa dla określonego gatunku korespondentów, używających szeregu cniwotów, które mają na celu odwrócić nie uwagi od istoty sprawy. Chwytnie te polegają po pierwsze na delikatnie mo wiąc obrażaniu wszystkich tych, którzy odważyli się tknąć Obywatela E. M. Po drugie na wniesieniu lub raczej doniesieniu nowych elementów nie ma jących wprawdzie związku z opisaną w artykule sprawą, ale kierujących podejrzenia w odpowiednim kierunku. Po trzecie na podkreśleniu własnej uczciwości, miłości do rodziny i wyjątkowego oddania dla zakładu pracy i regionu. Tymczasem sprawa polega na tym, że Obywatel Macur nie przestrzegając po prostu określonych zasad zawar tych w umowie najmu, zlekceważył przepis artykułu 36 Prawa lokalowego, wyłudził z Urzędu Miejskiego zaświadczenie oraz nie uznaje administracji Stacji, w której budynku mieszka.

Dbali o mnie Obywatel nie pokalał się także żadną pracą społeczną na rzecz rdziewięjących i nieszczęsnych przez dzieci parkanów, ani też uporządkowa nia czy upiększenia terenu wokół budynku, w którym mieszka.

Swolstwo zaiste sposób wymuszania racji, której się nie ma.

Andrzej Sierpiński

...Na pamiętniki mieszkańców wsi

Wojewódzki Komitet Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze, Lubuskie Towarzystwo Naukowe i Lubuskie Towarzystwo Kultury organizują Konkurs na pamiętniki mieszkańców wsi środkowego Nadodrza, do udziału w którym zapraszają wszystkich rolników, działaczy społecznych, politycznych, kulturalnych, młodzieżowych i gospodynie wiejskie.

Organizatorom konkursu zależy na uzyskaniu pamiętników, które będą sta nowić cenny materiał do badań socjologicznych, obrazujących kształtowanie się autorytetu w środowisku wiejskim, przemiany obyczajów i tradycji kształtowania się więzi emocjonalnych z regionem, zmian w kulturze wsi, roli działaczy politycznych i kulturalnych w przemianach społecznych wsi lubuskiej.

W konkursie mogą brać udział wszyscy mieszkańcy wsi zamieszkujący ponad 10 lat w regionie lubuskim, którzy nadesłali w terminie do 31 grudnia 1986 r. swój pamiętnik na adres: LUBUSKIE TOWARZYSTWO NAUKOWE UL. GWARDII LUDOWEJ 14 65-536 ZIELONA GÓRA.

Dopuszcza się do udziału w konkursie pamiętniki w czytelnej rękopiśmie. Prace nadesłane na konkurs należy podpisać godłem. W załączonej kopercie podać należy następujące dane: nazwisko i imię, dokładny adres zamieszkania, wiek, zawód i wykształcenie, skąd Autor przybył do miejscowości aktualnie zamieszkiwanej i czas zamieszkania w tej miejscowości.

Za najciekawsze prace zostaną przyznane przez organizatorów nagrody i wyróżnienia pieniężne:

I nagroda — 15 tys. zł; dwie II nagrody — po 12 tys. zł; trzy III nagrody — po 10 tys. zł oraz wyróżnienia.

Organizatorzy zastrzegają sobie ewentualności zmian wysokości i ilości nagród. Prace nadesłane na konkurs przechodzą na własność organizatorów i zostaną włączone do zbiorów naukowych Lubuskiego Towarzystwa Naukowego. Nadsyłając prace na konkurs, uczestnicy wyrażają jednocześnie zgodę na ich publikację w całości lub części. O rozstrzygnięciu konkursu autorzy zostaną powiadomieni specjalnym komunikatem i informacją w prasie.

SULECIN. Jesienią ubr. przekazano do użytku, po długotrwałym remoncie, Suleciński Dom Kultury. Obecnie placówka tętni życiem. Po „Dniach Sulecińskich” kierownictwo SDK wspólnie z władzami oświatowymi zorganizowało studium przedmiotowo-metodyczne dla nauczycieli szkół podstawowych, zajmujących się edukacją filmową. Siu-chaczce, prócz zajęć teoretycznych, biorą udział w spotkaniach z twórcami filmów oraz uczestniczą w Lubuskim Lecie Filmowym w Łagowie.

PRZYTOCZNA. Pod koniec lat siedemdziesiątych Przytoczna miała swój krajowy festiwal. Gorzowskie władze kulturalne nie żałowały pieniędzy, wsty skiem chodziło o to, by o województwie było w kraju głośno. Przyszły lata osiemdziesiąte i wtedy okazało się, jaki naprawdę był ten festiwal. W ubr. Przytoczna znowu powitała gości Ogólnopolskiego Przeglądu Dorobku Kulturalnego Wsi. W przeglądzie wzięły udział zespoły folklorystyczne z wielu regionów kraju, tylko nie z Gorzowskiego. Jeśli organizatorom imprezy zależało na prezentacji folkloru Wielkopolski, Mazowsza, Podlasia itp., nie wnosimy żadnych uwag, wszak to najtańsza wycieczka po naszym kraju, ale jeśli chodziło tylko o to, by w Przytocznej znowu było festiwalowo, to po co taki przegląd? Zespoły występowały w różnych miejscowościach województwa gorzowskiego. Na miejscu w Przytocznej prócz koncertów zorganizowano wystawy i kiermasze sztuki ludowej.

WOLSZTYN. Siedem zespołów pieśni i tańca środkowego Nadodrza (Przyspyłstyna, Krzepielów, Dąbrowka, Kębłowo, Smieszkowo, Brzeźnica i Złotnik) spotkało się w Wolsztynie na dorocznym przeglądzie folklorystycznym. Występem zespołów towarzyszył kiermasz sztuki ludowej oraz prezentacja dorobku twórczego amatorów. Imprezę przygotował Wolsztyński Dom Kultury.

ZIELONA GÓRA. W wieku 49 lat zmarł Gustaw Antonowicz, działacz sportowy i kulturalny. G. Antonowicz jako przewodniczący MRN w Świebodzinie przyczynił się do rozwoju ruchu regionalnego w byłym powiecie świebodzińskim. Był jednym z inicjatorów i pierwszych organizatorów Lubuskiego Lata Filmowego w Łagowie. Od chwili zamieszkania w Zielonej Górze brał udział w pracach komitetów organizacyjnych zielonogórskich imprez sportowych i festiwalu. Ostatnio pracował jako dyrektor Biura Imprez Turystycznych Zarządu Wojewódzkiego TPPR.

NOWA SOL. Nowosolskie Towarzystwo Kultury i placówki oświatowo kulturalne przygotowały bogaty program „Dni Nowej Soli”. Większość imprez plenerych z powodu podającego deszczu przeniesiono do pomieszczeń domów kultury. Podczas „Dni” wręczono Nowosolską Nagrodę Kulturalną, którą otrzymał Tomasz Subociło, absolwent Technikum Elektrycznego w Nowej Soli, obecnie prowadzący w Zakładowym Domu Kultury „Odra” zespół muzyczny „Farf”. Zespół ten jest laureatem wielu przeglądów piosenki turystycznej.

LUBSKO. Jubileusz 40-lecia obchodziło Liceum Ogólnokształcące w Lubsku. Naukę w szkole w roku 1946/47 rozpoczęło 86 uczniów, a w 1951 pierwszych 28 przystąpiło do matury (zdało 26, wśród nich obecny przewodniczący M-GRN W. Bielerczewski). Od 1974 r. szkoła nosi imię Stefana Żeromskiego, a od 1978 wchodzi w skład Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Zawodowych. Obecnie w Zespole uczy się 1720 uczniów. Wśród absolwentów znajdują się, m.in. aktorka i laureatka zielonogórskiego festiwalu piosenki radzieckiej Grażyna Nowik, Wanda Witter — lekkoatletka, obecnie pisarka i redaktorka w LSW, P. Mamczur — oficer LWP, wyróżniający się w służbie zawodowej, a także Rita Pokorna — dyrektorka NBP w Lubsku, M. Rymczak, K. Chribrowski, B. Podbielska — nauczyciel. Były dyrektor Zespołu Karol Żurawowicz był delegatem na IX Zjazd PZPR. Nauczyciel geografii Mieczysław Wojecki jest współtwórcą i wiceprzewodzącym Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Greckiej.

ZARY. 50 autorów prezentuje swoje prace w żarskim ratuszu. Organizatorzy wystawy i konkursu na tkaninę artystyczną to Urząd Miejski w Żarach, Wydział Kultury i Sztuki UW w Zielonej Górze, Wojewódzki i Żarski domy kultury oraz Lubuskie Towarzystwo Kultury. Jury pod przewodnictwem art. pl. Zofii Chmielewskiej po obejrzeniu 93 prac przyznało: pierwszą nagrodę — Jadwidze Wierzbickiej z Zielonej Góry; drugie nagrody — Marii Karzek i Janinie Przeglasińskiej, obie z Zielonej Góry; trzecie nagrody — Zofii Szczupaczyńskiej z Lipinek Łużyckich, oraz Jadwidze Bolińskiej i Annie Brożek z Zielonej Góry.

ZAGAN. W Salonie Słonecznym Zagańskiego Pałacu Kultury zgromadzone 129 prac 85 członków Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK, która w czerwcu br. obchodziła swoje czterdzieste. Na Dorocznym Wystawie Prac Plastyków Amatorów pokazano obrazy, grafiki, rysunki i rzeźby powstałe w ciągu ostatnich trzech lat. Podczas spotkania członków Sekcji Plastyki Amatorskiej z przedstawicielami władz wojewódzkich i Prezydium LTK najbardziej zasłużeni otrzymali nagrody i wyróżnienia. Minister Kultury i Sztuki przyznał Sekcji dyplom honorowy, trzy osoby otrzymały odznaki „Zasłużony działacz kultury”, zaś Adam Konsewicz i Józef Kurnyta zostali udekorowani odznaką honorową „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”. Szerzej o Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK napiszemy w jednym z najbliższych numerów.

CZŁONKOWIE NRK. Prezes Rady Ministrów powołał Narodową Radę Kultury na drugą kadencję. Przewodniczącym NRK został ponownie prof. dr Bogdan Suchodolski. W składzie NRK znajdują się przedstawiciele obu lubuskich województw: Szymon Kawalla — dyrektor i kierownik artystyczny Filharmonii Zielonogórskiej oraz Orkiestry i Choru Polskiego Radia i Telewizji w Krakowie, Jan Muszyński — dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, Mieczysław Rzeszewski — przewodniczący Wojewódzkiej Rady Plastyki w Gorzowie.

LAUREACI. Nagrodę im. Heleny Radlińskiej III stopnia za upowszechnianie czytelnictwa otrzymał dr Grzegorz Chmielewski — dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zielonej Górze; Czesław Markiewicz z Zielonej Góry otrzymał wyróżnienie za słuchowisko w konkursie pt. „Między zjazdami”; laureatem drugiej nagrody IV Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Ryszarda Miłczewskiego-Bruno został Sławomir Gowin z Zielonej Góry.

ZAPROSILI NAS: Komitet Organizacyjny Lubuskiego Lata Filmowego do wzięcia udziału w imprezie, Ministerstwo Oświaty i Wychowania na uroczyste podsumowanie konkursu „Młodość — trzeźwość”, Wydział Kultury i Sztuki UW w Gorzowie na Ogólnopolski Przegląd Dorobku Kulturalnego Wsi, Lubuskie Towarzystwo Naukowe na sympozjum „Rola młodego pokolenia w przeobrażeniach społeczno-politycznych środkowego Nadodrza”, Dyrekcja Filharmonii Zielonogórskiej na koncert symfoniczny kończący sezon artystyczny 1985/86, Zakładowy Dom Kultury „Panorama” w Barlinku na VI Aukcję Ceramiki Dziecięcej, Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na otwarcie wystaw — malarstwa Wojciecha Oleśiaka i plakatu teatralnego Sławomira Kitowskiego, Dzierżoniowski Ośrodek Kultury na wystawę „Ekslibris polityczny: Idea — Ludzie — Czyn”.

Dziękujemy.

nadodrze
BIURO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA NAUKOWEGO

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, I p. oraz adres dla korespondencji: 65-558 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat — 708-35, sekretarz redakcji — 39-13 oraz centrala — 46-61 do 7 łaczy telefon wewnętrzny. Telex — 043-2263.

Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masłowska (sztyka), Zenon Łukaszewicz (z-ca red. nacz.), Wiesław Nodzyński (sekretarz red.), Piotr Piotrowski



Ryszard Rowiński, Alfred Siatecki. Korekta: Maria Fiedorowicz, Elżbieta Nesterów; sekretariat redakcji: Elżbieta Waleńska. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” — Zielonogórskie Wydawnictwo Prasowe, al. Niepodległości 25, 65-042 Zielona Góra, skrytka pocztowa 51. Centrala telefoniczna 46-61 do 67. Piekiewicz, tel. 71-795.

Druk: Drukarnia Prasowa ZWP, 65-076 Zielona Góra, ul. Reja 5. Ogłoszenia przyjmują: Biuro Reklam i Ogłoszeń Zielonogórskiego Wydawnictwa Prasowego RSW „Prasa-Książka-Ruch” 65-042 Zielona Góra, al. Niepodległości 25 oraz wszystkie Biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch” na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Materiały (tekstów i fotografii) nie zamówionych redakcja nie zwraca. W przypadku wykorzystania nie zamówionych materiałów redakcja zastrzega sobie prawo skrótu i zmiany tytułów.

Zam. 703 1-20

KONKURSY

...Na wiersz o motywach winobraniowych

Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy, Wydział Kultury Urzędu Miejskiego, Lubuskie Towarzystwo Kultury oraz Redakcja „Nadodrza” ogłaszają — z okazji XXV-lecia Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze — otwarty konkurs poetycki.

W konkursie uczestniczyć może każdy, kto do 15 września 1986 r. nadesłanie utworu o szeroko rozumianej tematyce symbolizującej święto pól (winobranie, owocobranie, żniwa itp.).

Jury powołane przez organizatorów przyzna następujące nagrody:

I — 15.000 zł
dwie II po 10.000 zł
trzy III po 5.000 zł

Jury zastrzega sobie lny podział nagród.

Utwory, nigdzie dotąd nie publikowane, opatrzone godłem, z załączoną kopertą zawierającą imię, nazwisko i adres autora, należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu na adres: Redakcja „Nadodrza”, pl. Boh. Stalingradu 13, 65-558 Zielona Góra, skr. poczt. nr 40 z dopiskiem „Konkurs winobraniowy”. Ogłoszenie wyników nastąpi w październiku br.

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa publikacji w „Nadodrze” utworów nagrodzonych i zakwa lifikowanych przez jury do druku.

...Strofy dla miasta

Organizatorami konkursu są: Miejska Biblioteka Publiczna w Głogowie, Towarzystwo Miłośników Głogowa, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Legnicy.

Na konkurs należy nadsyłać prace związane tematycznie z Głogowem oraz utwory dedykowane miastu. W konkursie mogą brać udział wszyscy, również członkowie Związku Literatów Polskich. Organizatorzy pozostawiają autorom swobodę w wyborze formy. Prace opatrzone godłem należy w 3 egzemplarzach przesłać na adres:

Miejska Biblioteka Publiczna
ul. Jedności Robotniczej 15
67-200 Głogów z dopiskiem na 2-
percie:

„Strofy dla miasta”

Osobno załakowane koperty podpisane tym samym godłem powinny zawierać dane o autorze i jego adres.

Termin nadsyłania utworów upływa z dniem 15 sierpnia 1986 r. Do oceny prac nadesłanych na konkurs zostanie powołane jury.

Przewidywane nagrody:

I — 7.000,—
dwie II — po 5.000,—
trzy III — po 3.000,—
tęż wyróżnienia po 2.000,—

Organizatorzy zastrzegają sobie prawo innego podziału nagród.

Wyniki konkursu ogłoszone zostaną we wrześniu; wręczenie nagród i wyróżnień nastąpi na wieczornej poezji, o której terminie uczestnicy konkursu zostaną powiadomieni piśmiennie.

...Jednego wiersza

Organizatorzy „Warszawskiej Jesieni Poezji ’86”: Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Stołecznego Warszawy, Oddział Warszawskiego Związku Literatów Polskich i Staremiński Dom Kultury ogłaszają konkurs poetycki dla autorów nieprofesjonalnych.

Jeden niepublikowany dotychczas wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu, opatrzone godłem wraz z dołączoną do niego zapieczętowaną i oznaczoną tym samym godłem kopertą zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres zamieszkania autora oraz powtórzenie wybranego godła należy przesłać na adres: Biuro Organizacyjne „Warszawskiej Jesieni Poezji”, 00-272 Warszawa, Rynek Starego Miasta 2 z dopiskiem na kopercie „Konkurs Jednego Wiersza”.

Prace należy nadsyłać do 31 sierpnia 1986 r. (decyduje data stempla pocztowego).

Przewiduje się następujące nagrody:

— główną w wysokości 15.000 złotych;
— sześć wyróżnień po 7.500 złotych;
— nagrodę specjalną za wiersz o Warszawie w wysokości 10.000 złotych.

Jury konkursu ma prawo, po dokonaniu oceny materiału konkursowego, inaczej podzielić nagrody oraz przyznać wyróżnienia honorowe w postaci publicznej odczytania wierszy podczas spotkania laureatów lub publikacji w prasie literackiej.

Prace nagrodzone i wyróżnione zostaną opublikowane w okolicznościowym wydawnictwie (bez wypłaty dodatkowego honorarium autorskiego). Rozwiązanie konkursu i ogłoszenie wyników nastąpi podczas „Warszawskiej Jesieni Poezji ’86”.

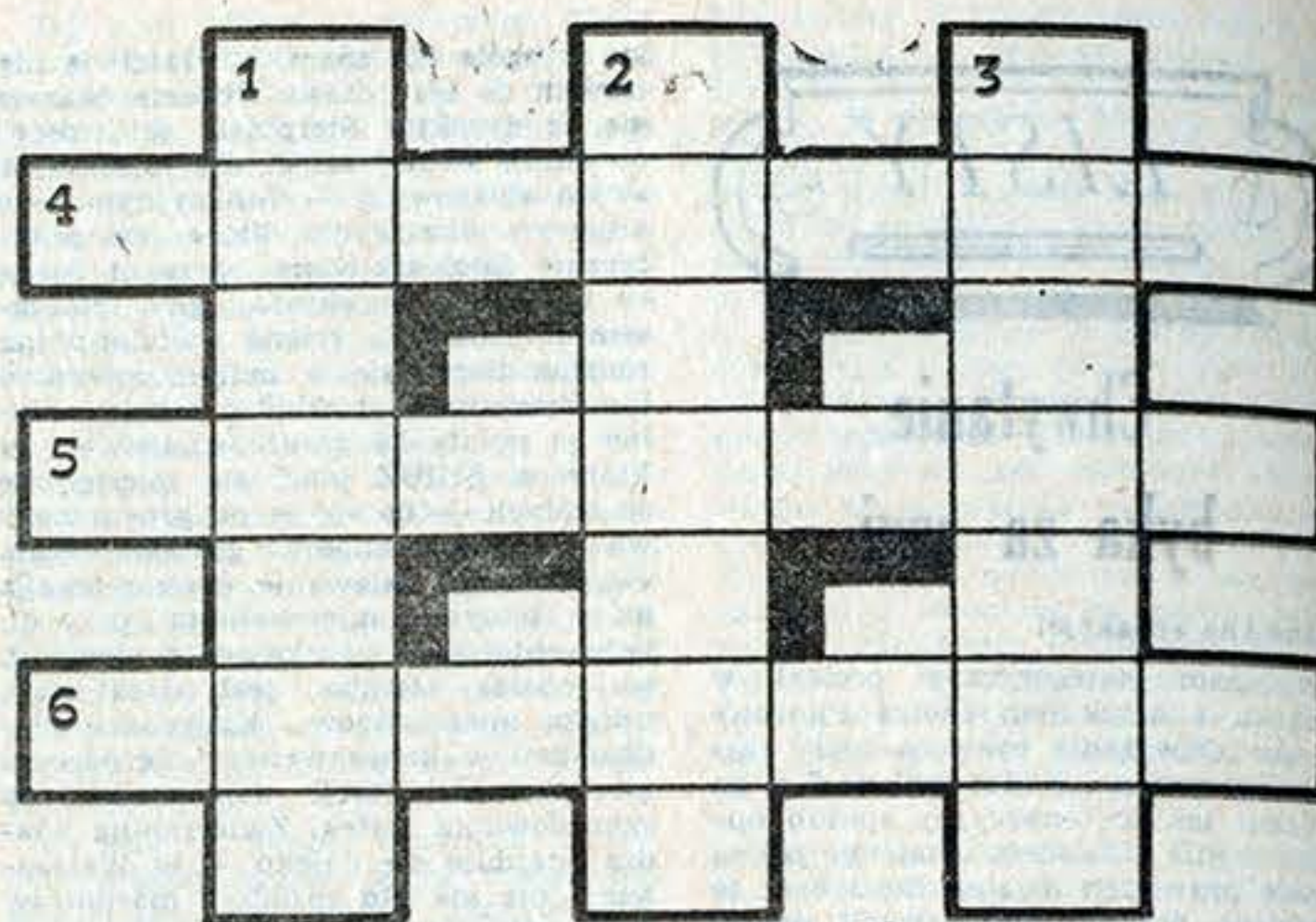
Nadesłane prace nie będą zwracane.

nadodrze

ROZRYWKI UMYŚLOWE

Oprac. Stanisław Patycki

GRZĄDKA		Ryba morską	BAS ROS.		Dopływ Wołgi	Pensja
SZPAL-TA			Autor „Nany”			
ĆWIKŁA						Czarna Woda
WIELORYB						
Cyrk lodowcowy			MAGMA			
Bogini mądrości						Ubiór szlachectki
Dopływ Wisły						
Skorupiak		W naszym niku	TEREN NIE ZABUDOWANY		NIEPOKÓJ. LĘK	
		Stolica Jemenu			UPOMINEK. PREZENT	
DOLA			SPÓD			
LEMO-NIADA						
PLAS			WRZĄTEK			
CIEŻKI NIEZGRABNY POWÓZ						



KRZYŻÓWKA TAUTOGRAMOWA

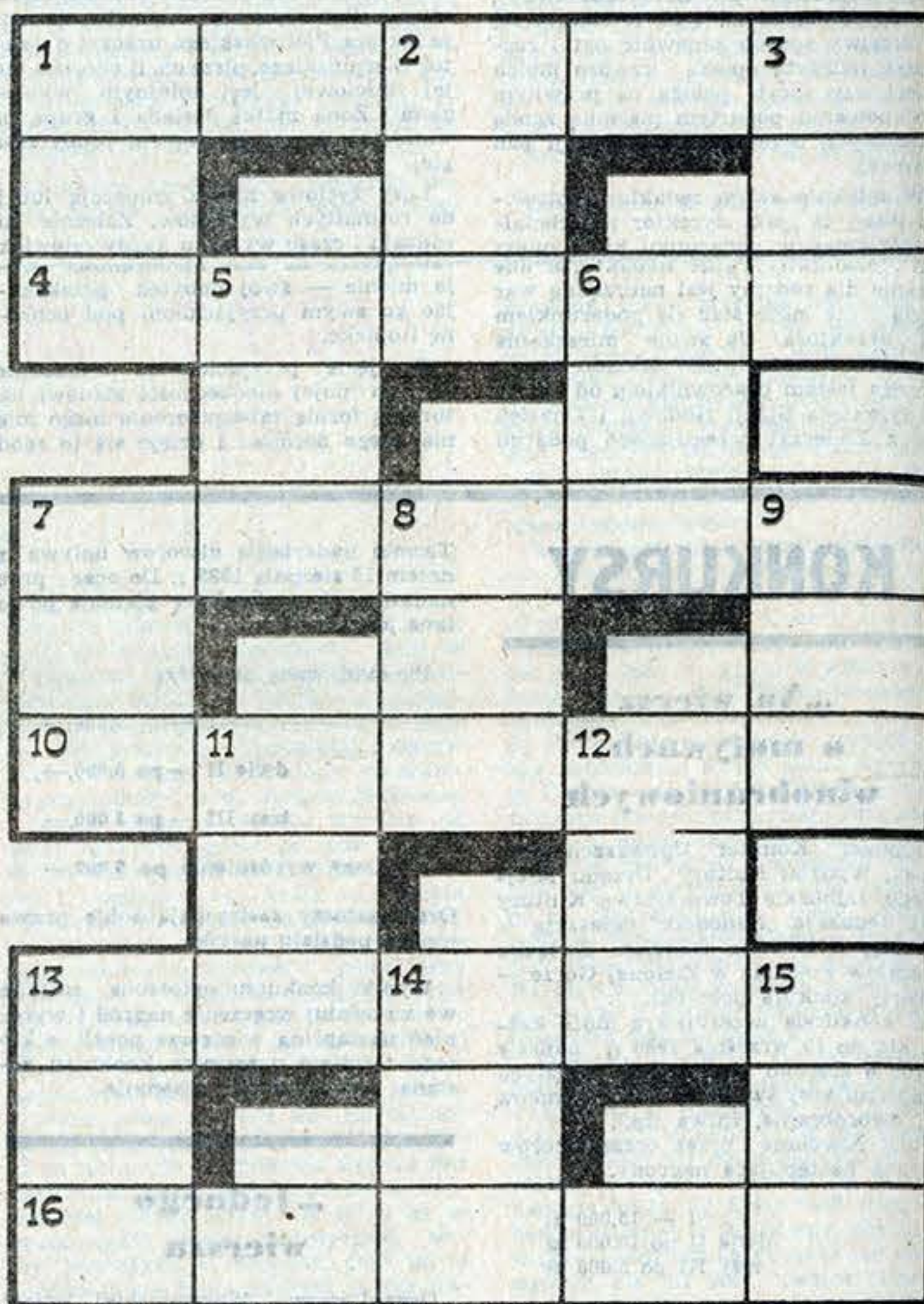
Wszystkie wyrazy zaczynają się taką samą literą.

Poziomo:

- kość czaszki z zębami
- przyprawa do potraw jako żółty barwnik (głównie do ciast)
- metalowy pręt do łączenia konstrukcji stalowych

Pionowo:

- woda mineralna o dużej zawartości dwutlenku węgla
- w dawnej Polsce urzędnik zajmujący się sprawami finansowymi
- ściniek



KRZYŻÓWKA DWULITEROWA

Poziomo:

- żandarm włoski
- nauka o ciałach niebieskich
- ozdoba na przegubie reki kobiety
- podstawowe narzędzie lekarskie
- szczególny grafik
- przełożony służby tajnej

Pionowo:

- szkielet druczany abażuru
- million milionów
- eumenida lub grecka furia
- cesarz rzymski, wznosił termy, Forum i kolumnę
- w mitologii greckiej królowa Lidi
- liściaste drzewo lasów wilgotnych
- polski konstruktor samolotowy, m.in. „Iskra”
- jednokółka budowlanych
- roślina oleista
- stolica państwa Hyksosów (Egipt)
- żywa substancja komórek roślinnych i zwierzęcych
- żydowski filozof i myśliciel religijny (ok. 1583—1640)
- w zastawie stołowej

Rozwiązanie zadań prosimy nadsyłać na adres redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru. Na kopercie należy nakleić kupon zamieszczony powyżej. Kupony z rozwiązaniami trzech zadań wezmą udział w losowaniu nagrody książkowej wartości około 300 zł. Czytelnicy, którzy w tym losowaniu nie będą mieli szczęścia, wezmą udział — razem z tymi, którzy rozwiązali 2 zadania — w losowaniu 2 nagród książkowych po 200 zł.

Rozwiązanie zadań z nr 12:

Krzyżówka z hasłem: „Ludzi na świecie siła, ale człek rzadki”.
Figura magiczna: wrzawa, przetak, zelota, katoda, wata, laka.
Wirówka: szkapa, akapit, pipeta, tepota, apatia, patera, Petipa, apatyt, koryto, litera, releta, roraty, rokoko, rajtar, Renoir, rokosz, kopyto, wariat, Le-

soto, kotara, Waruna, ananas, sutasz, Elbrus, woalka, namowa, ataman, matura.

Nagrody książkowe otrzymują: p. Władysława Czechowska z Chybia (za rozwiązanie trzech zadań) oraz p. Adam Kozłowski z Białogostoku i p. Mieczysław Chodań z Ilowej Zagajskiej. Gratulujemy. Nagrody prześlemy pocztą.



Pewnego wieczoru w „Orionie”

reportaż

Zmierzch skrada się ścieżką pod płotami i wchodzi między domy, łącząc drzewa i krzewy w zwartą, coraz bardziej ciemniejącą ścianę. Oświetlona jest tylko szosa, którą wolno, nie spiesząc się, jedzie milicyjny fiat. Zatrzymuje się przed restauracją GS i po kolistym ruchem wjeżdża na parking.

Stoi tu tylko wielki star z rejestracją gorzowską i wciśniętą w sam róg towarowa nysa. Z tego wniossek, że dziś nie ma zbyt wielu amatorów bigosu firmowego i zorku z połową jajka.

— Czym mogę służyć?

Tęgi kelner cierpi na chroniczny nieżyt gardła. Kiedyś pracował w Zielonej Górze i czasy te wspomina niemal z czułością. Lokal był elegancki, towarzysztwo na poziomie — adwokaci, redaktorzy, artyści. I program artystyczny był, ze striptisem. Każdej nocy działa się coś ciekawego.

A tu, no co tu może się zdarzyć, najwyżej mordobicia albo sypanka czyli pyskawa.

Te cholerna chrypkę już wtedy miał. Nie służyła mu zimna wódka, ale ją pił, bo co było robić po północy, gdy nogi już nie za bardzo chciały nosić, a w gości właśnie o tej porze wstępował nowy duch?

— Wodeczkę tylko zimną, za to nożki to ja lubię tylko gorące — żartował, puszczając perskie oko do barmanki. Teraz nie ma ochoty na żarty, choć barmanka jakby ta sama, co wówczas, przystojna, z bujną fryzurą w kolorze platynowy blond.

Kelner wymienia z nią spojrzenie. Co jest grane? Gliniarze rzecz zwykła, ale czy przypadkiem nie zanosi się na coś specjalnego?

Sierżant Eugeniusz Smela i starszy kapral Henryk Tuczyński, gdyby nie znak MO na samochodzie, mogliby uchodzić np. za kontrolerów GS, agentów PZU albo artystów estradowych, którym właśnie tu wypadło wstąpić po drodze. Ale dowodzący grupą informacyjno-operacyjną starszy sierżant sztabowy Adam Warzocha ma na sobie mundur.

— Sssłużę uprzejmie!

Szept kelnera choć wiadomo, że spowodowany chroniczną wadą, brzmi konspiracyjnie. Podana w szklance herbata ma niezbyt apetyczny kolor słony.

Sala jest oddzielną sytuacją, na parkingu. Zajęte są tylko cztery stoliki.

Dwuosobowa załoga stara wyciera chlebem ślady bigosu na talerzach, kończy jeść i zabiera się do wyjścia. Drugi stolik zajmuje pięciu miejscowych konsumentów, znanych kelnera i barmanki. Przy stoliku trzecim usiadł funkcjonariusze MO.

Wzrok sierżanta Warzocha zatrzymuje się na czwartym z zajętych stolików, stojącym najbliżej drzwi. Siedzą tam dwaj mężczyźni i kobieta w czerwonym płaszczu. Wydają się mocno podpić.

Jeden z mężczyzn odwrócony plecami do milicjantów, trzyma w pozycji nieruchomej, z głową zwieszoną nad niedojedzoną sałatką. W pewnym momencie wstaje z krzesła i nieco chwiejnie rusza ku drzwiom.

W tej samej chwili podnosi się sierżant Warzocha. Pozwala nieznajomemu wyjść. Zatrzymuje go dopiero na zewnątrz i zaprasza do wozu.

— To nieporozumienie — belkoce mężczyzna — ja chciałem tylko... za potrzebą...

Rzut oka na dowód osobisty i sześć kajdanków.

Mężczyzna już nie udaje pijanego. Jest to Zygmunt Wajc, poszukiwany przez Prokuraturę Rejonową w G. z artykułu 186 KK za znęcanie się nad rodziną. Dochodzenie przeciwko niemu prowadzi jeden z Rejonowych Urzędów Spraw Wewnętrznych w województwie leszczyńskim.

Jak sierżant Warzocha wpadł na to, że akurat ten, a nie inny gość jest poszukiwanym Zygmuntem Wajcem? Nie było przecież fotografii, ani nawet dokładnego rysopisu?

Sierżant usmiecha się. Po prostu — trzeba mieć nosa! Pracuje w milicji już dostatecznie długo, aby sobie tego „nosa” wyrobić.

— Facet siedział do mnie tyłem i nie poruszał głową ani w lewo, ani w prawo, jakby nie chciał pokazać profilu. Wyczułem, że jest spięty i czegoś się boi. To nasunęło mi myśl, aby go wylegitymować, na wszelki wypadek...

Milicyjny fiat, teraz już z dodatkowym pasażerem, znów zatacza miękkie zakole, wyjeżdża na lśniący asfalt szosy i sunie cicho w kierunku Zielonej Góry. Właśnie przeleciał drobny deszcz, obmył zakurzone drzewa i orzeźwił powietrze.

Kelner z barmanką patrzy zza szyby. On drobnymi lyczkami ścący ostatni kieliszek, ona mimowolnie dotyka srebrnych, brzęczących bransoletek na przegubie dłoni. Wyszedł ostatni gość, pora zamykać. A jednak coś się dzisiaj wydarzyło w „Orionie”. Reszta nocy zapowiada się spokojnie.

HA

FS. Nazwisko zatrzymanego i nazwa lokalu zostały zmienione.